Prenumerata r o c z n a wynosi 10 zł
Numer pojedynczy 3 „

Nr. 3-4.

ROCZNIKI
OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ
Św. WINCENTEGO a PAULO

ROK XXXI.

NUMER JUBILEUSZOWY.



WYDAWNICTWO I NAKŁAD XX. MISJONARZY
KRAKÓW, STRADOM 4
1928.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata roczna 10 zł. (2 dol.) — Pojedynczy numer 3 złote.

Wpłata na konto czekowe Nr. 150.142 ks. Król. Kraków

Drukarnia Związkowa w Krakowie.

„Chwalebna objawiać i wyznawać dzieła Boże". Tob. I.

Święty nasz Ojciec kazał nam pracować w cichości bez szukania rozgłosu, bo taki jest duch ewangelji. Ale to nie znaczy, że nam nie wolno uznawać powodzenia w naszej pracy i w dziełach Zgromadzenia. Wolno i trzeba, tylko, że wtedy mamy sobie powtarzać za Apostołem: „Nie ja, ale łaska Boża ze mną". Tak Archanioł zachęcał Tobjaszów: „Chwalebna objawiać i wyznawać dzieła Boże". Tak nas znowu nauczył św. Wincenty, kiedy nam polecił z wdzięcznością obchodzić dzień Nawrócenia św. Pawła jako rocznicę narodzenia Zgromadzenia w uznaniu powodzenia pierwszego kazania misyjnego. W tej myśli obchodziliśmy 300-lecie istnienia Zgromadzenia, i sam Ojciec św. polecił nam się cieszyć i budować dla jeszcze pomyślniejszej przyszłości. 25 lat temu cichutko, ale z rozrzewnieniem obchodziliśmy srebrny jubileusz Małego Seminarjum, tego małego gniazdka Nowej Prowincji naszej, skąd wyleciało tyle pokoleń na żniwo Boże. A w podziękę za tę łaskę popłynęły 2 oddziały żniwiarzy Bożych, a wychowanków Małego Seminarjum, do Brazylji i Stanów Zjednoczonych w maju i listopadzie 1903 r.



W tym roku upływa 50 lat istnienia Małego Seminarjum w Krakowie, a 25 lat od wypraw misyjnych jego wychowanków. Złoty jubileusz Małego Seminarjum, a srebrny naszych wiceprowincyj Amerykańskich. Wszyscy dobrze rozumiemy ważność Małego Seminarjum w Krakowie i jego siostrzycy w Wilnie. Z otuchą i miłością spoglądamy ku wzniesionym domom pod przyszłe Małe Seminarjum w Bydgoszczy. W Stanach Zjednoczonych rozszerzyli Konfratrzy polscy Kolegjum w Erie, a w Kurytybie przystępują do budowy kaplicy i konwiktu. Tam i tu budzą się nowe powołania dzięki owocnej pracy apostolskiej dawnych wychowanków Małego Seminarjum, którzy choć znękami trudami, powtarzają z wdzięcznością: „Confitemini Domino" wyznawajcie Panu, „że dobry i na wieki miłosierdzie Jego".

Pragnieniem naszem, a życzeniem Ojca Generała jest, żebyśmy ten jubileusz uczcili wyjazdem misyjnym do Chin. Żywo stoją nam przed oczyma świetlne postacie założycieli Małego Seminarjum i Przewodników naszych z przeszłości; niech ich wiara, pobożność i gorliwość zapalają serca nasze dla szczęśliwej przyszłości. Łączmy się razem z Drogimi Konfratrami, którzy w srebrny jubileusz Małego Seminarjum otrzymali święcenia kapłańskie, a dziś w złoty jego jubileusz dziękować będą Panu Bogu za 25 lat zbożnej pracy kapłańskiej.

Ks. Józef Kryska.

Wiązanka wspomnień o 1903 roku
z okazji ćwierćwiecza zamorskich wypraw naszych wychowanków Małego Seminarjum w Krakowie.

Napisał Ks. Czesław Lewandowski.

Budowniczy prowincji krakowskiej, ksiądz wizytator Piotr Soubieille, mógł powtórzyć za Symeonem, przy końcu swego życia, te słowa: „Teraz puszczasz sługę swego, Panie, w pokoju, gdyż oczy moje oglądały zbawienie“.

Kiedy bowiem ksiądz Soubieille z Francji do Polski przybywał 1866 r., zastał, rzec można, ruiny po wielkiej i świetnej prowincji polskiej Zgromadzenia Ks. Ks. Misjonarzy: dwa domy w Krakowie, — bo trzeci w Chełmnie zaraz w następnym roku musiano opuścić — i kilkunastu synów św. Wincentego a Paulo, którzy prócz wychowywania kleryków świeckich w seminarjum duchownem na Stradomiu i kierownictwa Sióstr Miłosierdzia i kilku dzieł miłosierdzia większych prac w duchu swego powołania wypełniać nie mogli.

W chwili zaś śmierci Sługi Bożego liczyła prowincja krakowska ośm domów, w których pracowało do pięćdziesięciu kapłanów i kilkunastu braci, a przeszło pół setki kleryków przygotowało się do misjonarskiego zawodu.

Z biegiem czasu rozpoczęto i z błogosławieństwem Bożem prowadzono niemal wszystkie główne dzieła, jakie przekazał św. Wincenty swym Zgromadzeniom. Odbywały się więc, gdzie tylko było można, misje ludowe i rekolekcje dla ludu polskiego. Były też ćwiczenia duchowne dla kapłanów i osób zakonnych; służono wydatnie klerykom w dwóch seminarjach duchownych w Krakowie i we Lwowie, nasi też



O. Generał Verdier.

kapłani objęli wyłączne kierownictwo nad arcybiskupiem Małem Seminarjum we Lwowie.

Roztoczono opiekę nad nieszczęśliwemi po szpitalach,

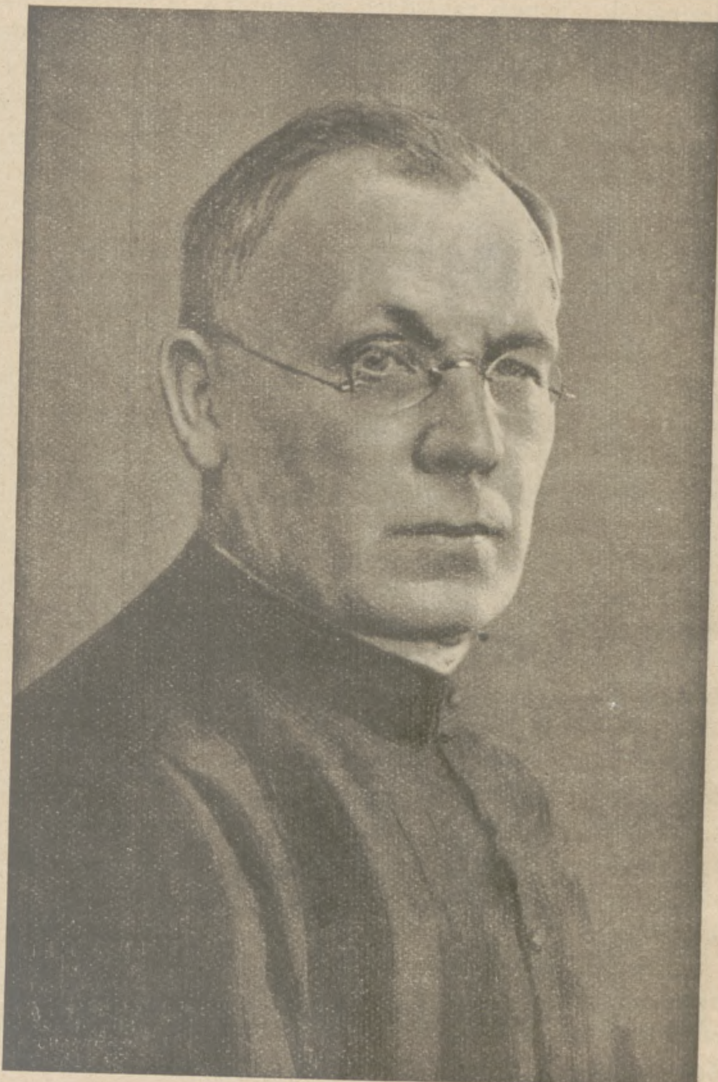
więzieniach i innych zakładach miłosierdzia, a zwłaszcza nad opuszczonemi chłopcami w domach księdza Siemaszki. Moralnie i materjalnie zajmowano się ubogimi, którzy setkami szli, jak do swej przystani, do domu Księży Misjonarzy na Kleparzu. Tamże też setki młodzieży młodszej i starszej odbierało wykształcenie religijne i wychowanie cnotliwe.

Prócz pomocy udzielanej Siostrom Miłosierdzia kierowali Misjonarze stowarzyszeniem „Dzieci Marji", zajmowali się i innemi charytatywnemi dziełami na różnych polach miłosierdzia chrześcijańskiego, jak np. Stowarzyszeniem Pań Miłosierdzia, dziełem misyjnem św. Dziecięctwa Pana Jezusa i wydawnictwem dzieł religijnych. Chociaż tym dziełom nie zawsze dał ks. Soubieille początek, ani ich nie prowadził wszystkich, ale on to był jakoby ich ojcem duchownym. Wkładał w nie swą chętną aprobatę, modlitwy i życzenia i tak się nimi szczerze cieszył, jakoby je sam wypełniał. Przy sercu tego świątobliwego misjonarza, gorejącego duchem apostolskim i miłością do dzieł św. Wincentego, zwłaszcza do ubogich, zapalały się serca Misjonarzy, tak, iż wspólnie z nim pracowali na chwałę Bożą i zbawienie dusz wedle ducha ich świętego Założyciela.

Nie wszystko co zdziałał ks. wizytator Soubieille było idealne, bez zarzutu. Mylił się czasem w obiorze środków do celu. Zdarzyły się w jego życiu przykre dla otoczenia niespodzianki, lecz mimo to wszyscy widzieli i odczuwali, że ów Sługa Boży, szukał zawsze Boga i rzeczy Bożych, nie siebie samego, że życie tego cnotliwego kapłana wypalało się dla Boga, dla celów Zgromadzenia, dla ubogich.

Życie jego, jak rzeka płynęła do morza, inni zaś Misjonarze, pomocnicy księdza Soubieille, jak potężne dopływy rzeczne, wlewali swe nurty pracowite do wspólnego łożyska Zgromadzenia i razem z nim płynęli do wspólnego oceanu — do Boga.

Wszystkie te dzieła Boże dokonane za życia księdza Soubieille i inne, które w przyszłości niebawem rozpoczęto, jak wielkie dzieło misyjne polskich Misjonarzy nad wychodź-



X. Kryska, wizytator.

twem polskiem w Ameryce północnej i południowej, a po części nawracanie pogańskich Indjan w lasach brazylijskich, wyrosły przeważnie z posiewu Małego Seminarjum w Krakowie, które ks. wizytator Soubieille od 1878 roku zaczął uprawiać i zasiewać. Z tejże małej winnicy Pańskiej wychodzić poczęli od 1887 r. nowi robotnicy Pańscy do różnych dziedzin pracy w Zgromadzeniu, najpierw w dawnej części Polski pod zaborem austrjackim, a potem od 1903 roku dwoma wyprawami misyjnemi przeszli Europę, przepłynęli oceany i osiedlili się w nowym świecie, na obydwóch półkulach ziemskich Ameryki.

I właśnie w tym roku 1928 upływa ćwierćwiecze tych zamorskich wypraw misyjnych. Rok 1903 złączy się zgodnie z półwiekowym jubileuszem założenia w 1878 r. naszego Małego Seminarjum w Krakowie.

Jak niegdyś Mojżesz ujrzał zdaleka ziemię obiecaną, chociaż do niej nie wszedł, tak przed oczyma duszy księdza Soubieille przedstawiło się u schyłku 19 wieku wielkie pole pracy misyjnej na drugiej półkuli ziemskiej i lubo do spełnienia tego dzieła się przygotowywał, ale już go osobiście nie dokonał. Z końcem 19 wieku dochodzić poczęły ze stolicy Parany, Kurytyby, wołanie gorliwego księdza biskupa Józefa Camargo Baros o ratunek dla tysięcy polskich dusz, rozrzuconych po pustynnych okolicach jego rozległego biskupstwa. Głosy te przez Paryż dochodziły do Krakowa, za pośrednictwem O. Generała Fiat'a, do księdza Soubieille i rozpalały w jego sercu obok uczucia litości wielki zapał do tego zamorskiego dzieła misyjnego. Podsycali zaś te ognie młodzi kapłani, wychowankowie Małego Seminarjum krakowskiego, a między nimi był ksiądz Hugo Dylla, który prosił nadto listownie O. Generała, 1899 r., by go posłał na misje zagraniczne, lub do Parany, do pracy nad opuszczonymi Polakami i gdzieby się może otwarło wdzięczne pole nawracania dzikich szczepów Indjan.

O. Generał Fiat życzliwie usposobiony był do tego nowego dzieła tem więcej, że osobiście zetknął się z księ-

dzem biskupem z Kurytyby, który umyślnie gwoli tej sprawy do Paryża przyjechał, słał więc listy do Krakowa, by po porozumieniu się z księdzem Soubieille, doprowadzić to dzieło Boże do szczęśliwego końca. Z biegiem 1899 r. sprawa wysłania polskich Misjonarzy była ostatecznie załatwiona ku wielkiej radości księdza biskupa z Kurytyby i zadowolnieniu O. Generała, który zgodził się na to chętnie, że nowe polskie domy w Brazylji miały bezpośrednio zależeć od prowincji krakowskiej. Nadzwyczajny komisarz O. Generała, ks. Bettembourg, z okazji wizyty domów brazylijskich naszego Zgromadzenia, miał przy tej sposobności odwiedzić księdza biskupa Józefa Camargo Baros i zobaczyć przyszły nowy dom polskich Misjonarzy.



O. Generał Fiat.

W tem nagła śmierć ks. wizytatora Soubieille, w kwietniu 1900 r., przerwała to wszystko i wyprawa do Brazylji doznała zwłoki. Ksiądz biskup z Kurytyby słał bezskuteczne listy z prośbą o przysłanie mu polskich Misjonarzy. Po księdzu Soubieille został wizytatorem ksiądz Józef Kiedrowski. Nastały nowe stosunki, troski i potrzeby, które zamierzoną wyprawę brazylijską na dalszy plan odsunęły.

Dla zrozumienia rzeczy trzeba sobie uprzytomnić położenie prowincji krakowskiej w jakiem się znalazła w ostatnich jeszcze czasach życia księdza wizytatora Soubieille. Przechodziło wtedy nasze Zgromadzenie w Polsce bardzo ciężkie przesilenie materjalne. Środki do życia były całkowicie wyczerpane różnemi budowlami, a szczególnie kościoła i domu na Nowej Wsi Narodowej, potrzeby zaś nowe wzrastały nadmiernie z przyrostem liczby kleryków, nowych dzieł miłosierdzia, zakładu ks. Siemaszki, dużo kosztowało utrzymanie szkół, płace świeckich profesorów. Mimo dobudówek i prze-

róbek ciągłych na Kleparzu nie usunięto ciasnoty, gdyż były tamże i Seminarjum internum i studja wyższego gimnazjum i wykłady teologiczne dla kleryków, sale wykładowe, mieszkania dla księży i braci, osobne izby dla ubogich i mło-



X. Soubieille, wizytator.

dzieży miejskiej, obok urządzenia domowego i gospodarczego.

Brakło nietylko pożywienia, utrzymania, ale i oddechu! (rozmachu) i pola do nowych prac i dzieł.

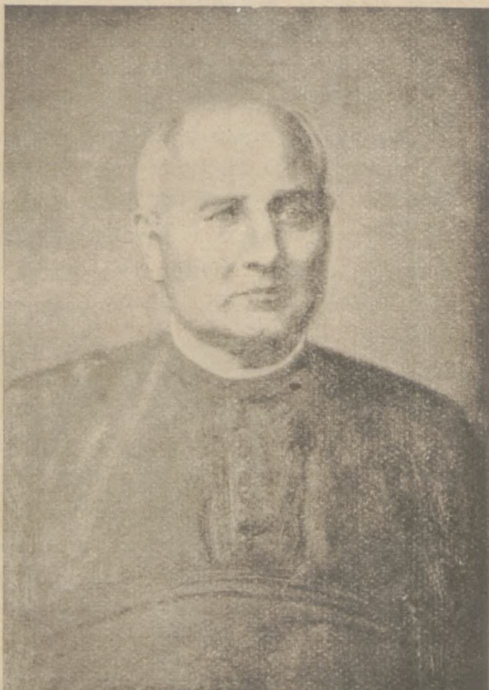
W tej ciasnocie materjalnej i dusznej chciało się instynktowo, jakby otwarcia okna do nowych poświęceń, nowego i większego pola pracy. Poza Małopolską prowincja krakowska dalej rozwijać się nie mogła, ściśnięta granicami

zaborczych państw. Starożytny zaś i wielki dom obszerny na Stradomiu dawał schronienie świeckim klerykom.

Stan też głównego domu na Kleparzu, rzec można, pogarszał się z każdym miesiącem, tak iż z powodu odmówienia kredytu cierpiano niedostatek. Główny zarząd naszego Zgromadzenia w Paryżu nie był o tych bolączkach naszej prowincji dostatecznie objaśniony. Tam z daleka podziwiano księdza wizytatora Soubieille, jako potężnego budowniczego z ruin dźwigającej się prowincji krakowskiej. Dostojny jej Wizytator uchodził w opinji tamtejszej za człowieka opatrznościowego, któremu nic nie braknie, który umie sobie we wszystkiem skutecznie radzić, który pierwszy w całem Zgromadzeniu rękę przyłożył i przeprowadził nowość, jaką było założenie Małego Seminarjum w Krakowie! To też nic dziwnego, że kiedy ksiądz wizytator Soubieille pojawił się w Paryżu z okazji konwentów, czy innych sposobności, był przedmiotem podziwu ze strony całego Zgromadzenia i w tej aureoli do śmierci chodził. Ksiądz Cz. Lewandowski, superjor domu kleparskiego, miał sposobność osobiście stwierdzić to wszystko, gdy latem 1900 r. wraz z księdzem J. Gaworzewskim, dyrektorem Seminarjum internum, bawili w Paryżu. Trzeba było wówczas spisywać całe arkusze na stawiane pytania O. Generała, który pilnie i szczegółowo badał sprawy tyczące się naszej krakowskiej prowincji, a zwłaszcza bolączki materjalne.

Gdy więc te opisane stosunki mamy na pamięci, nie zdziwi nas to, że nowy Wizytator Kiedrowski, borykając się z tylu piętrzącemi się trudnościami, zostawił sprawę misji brazylijskiej na uboczu. Ów gorliwy i światły Misjonarz, który z takiem powodzeniem pracował na wszystkich polach zajęć misjonarskich i umiał je organizować, systematycznie i wytrwale do końca przeprowadzać po Bożemu, teraz jako wizytator Zgromadzenia Księży Misjonarzy i dyrektor Sióstr Miłosierdzia prowincji krakowskiej i chełmińskiej (poznańskiej), prawie utonął w wirze przeróżnych zajęć, spraw i kłopotów, jakie równocześnie spadły na niego. Chociaż nie

chciał sprawować przełożeństwa domu głównego na Kleparzu i wezwał na ten cel, w ciągu roku szkolnego 1900, księdza Lewandowskiego ze Seminarjum duchownego we Lwowie, to jednak przechodziło siły Sługi Bożego, pracą,



X. Kiedrowski, wizytator.

wiekiem już steranego, kierować aż trzema prowincjami osobiście, ogarniać całość i poszczególne sprawy tychże prowincyj, domów i osób. Nie zadawalniał się przytem ksiądz Kiedrowski stanowiskiem wodza naczelnego, ale jako prosty szeregowiec stawał do pracy apostolskiej, służąc równie kapłanom, przez rekolekcje, jako i ubogim i maluczkim wszelaką pomocą duchowną.

Zwolna ciężkie stosunki materjalne naszego Zgroma-

dzenia w Polsce zaczęły się polepszać, a to dzięki zabiegom Konfratrów naszych, pracom przez nich na różnych polach gorliwości podejmowanym i dzięki pomocy nadzwyczajnej z zewnątrz przychodzącej, (jak np. od O. Generała Fiata, który z własnej ochoty, żegnając się z polskimi Misjonarzami w Paryżu 1900 r., dorzucił im sześć tysięcy franków).

Pod jesień 1901 r. wyprowadzili się świeccy klerycy Seminarjum diecezjalnego z domu Zgromadzenia Księży Misjonarzy na Stradomiu do nowo zbudowanego przez Kardynała Puzynę Seminarjum duchownego na Podzamczu pod Wawelem. Wtedy nastąpił rozdział osób naszego Zgromadzenia. Nasi klerycy misjonarscy w liczbie 52, tj. teologowie, wszyscy seminarzyści, a nadto siedmiu kapłanów wraz z księdzem Superjorem Lewandowskim i część braci przenieśli się z domu kleparskiego na Stradom, do starożytnego domu naszego Zgromadzenia. Reszta zaś naszych kleryków (gimnazjastów), kapłanów i braci z księdzem Superjorem Bayerem pozostała na Kleparzu. Po tej historycznej przeprowadzce odetchnęli wszyscy pełną piersią swobodnie. Prowincja krakowska rozwijała się potężnie, przesilenie materjalne łagodniało, praca w domach i poza domem aż dudniała, zwłaszcza na misjach i rekolekcjach. Powstawały nowe domy w Sarnkach (1900 r.), w Białym Kamieniu (1902 r.), w Kaczyce (1902 r.), w Tarnowie (1902—1903 r.).

Monotonność wytężonej pracy naukowej i apostolskiej przerywało wołanie z poza oceanu o pomoc obiecaną dla opuszczonych duchowo Polaków w lasach brazylijskich. Zwolna też przeciskała się do umysłów młodszych Misjonarzy polskich coraz jaśniejsza świadomość, że polscy Misjonarze mają obowiązek ratować swych rodaków na tej dalekiej obczyźnie, że to jest sprawa miła Bogu, która sprowadzi błogosławieństwo Jego na naszą prowincję krakowską, tem bardziej, jeśli nasi Misjonarze będą mieli sposobność nawracać tamże dzikich Botokudów lub inne szczepy indyjskie. Hasło „Bóg tak chce“, zaczęło się przeciskać coraz

mocniej do serc polskich Misjonarzy, wychowanków Małego Seminarjum krakowskiego.

Z drugiej jednak strony były mocne sprzeciwy ze strony innych Konfratrów, że chociaż dobra to rzecz, ale nie przy-



X. Kasper Słomiński, wizytator.

szedł jeszcze czas na te zamorskie wyprawy, że wpierw polska prowincja musi uróść w siły, lepiej się urządzić, wzmóc się w środki materjalne. Ksiądz wizytator Kiedrowski przechylał się na tę drugą stronę i zdania nie zmienił, chociaż w lipcu 1902 r., z okazji konwentu generalnego w Paryżu, z różnych stron bardzo go zachęcano do tej wyprawy brazylijskiej. Konfratrzy w Brazylji, jako delegaci tamże obecni, szczególniej prosili polskich wysłanników, by i jak najprędzej wyprawić polskich Misjonarzy do Parany brazylijskiej.

Zachęcały nas także do tego i inne osobistości, jak redaktor Bielecki i kapłani polscy, którzy powrócili do Polski, a przedtem pracowali nad Polakami w Brazylji.

Równolegle z zamierzoną wyprawą brazylijską wyłaniać się poczęła w tym czasie nowa wielka sprawa, która skierowała uwagę polskich Misjonarzy na Amerykę północną i zwolna dojrzewał nowy zamysł, aby się tam osiedlić na stałe dla ratowania ludu polskiego na misjach, lub po parafjach. Do tego dzieła misyjnego popchnął nasze Zgromadzenie w Polsce ks. Fr. Katzer, arcybiskup z Milwaukee, który gorąco pragnął, by polscy Misjonarze osiedlili się w jego stolicy biskupiej w Milwaukee przy polskim kościele parafjalnym i wzięli w opiekę tamtejszych Polaków, czy też przez misje lub w inny sposób duchowne posługi im oddawali. (Ostatni jego list nosi datę 18 stycznia 1903 r. Nie wiemy czy ów życzliwy dla nas Dostojnik Kościoła zgłaszał się w tej sprawie do księdza wizytatora Soubieille, bo wszystkie te listy i dokumenty zabrał ks. Jerzy Głogowski ze sobą do Ameryki, aby się mógł w razie potrzeby wykazać, żeśmy byli wzywani do Milwaukee, po zaszłych tamże zmianach, z okazji śmierci ks. arcybiskupa Katzer'a).

Owe wezwania nas do zamorskich misyj ze strony książąt Kościoła, poparte gorącą zachętą Misjonarzy, wychowanków naszego Małego Seminarjum, którym leżało na sercu to widoczne dzieło Boże, odniosło wreszcie pożądany skutek. Ksiądz wizytator Kiedrowski poznawszy wolę Boską, już się Jej dłużej nie opierał.

Pomocnik w tej sprawie ksiądz Józef Gaworzewski wyjechał wprawdzie ze Stradomia w połowie listopada 1902 r. na rektora metropolitalnego Małego Seminarjum do Lwowa, ale za to w tym czasie przyjechał na stałe do Krakowa ks. Józef Kryska w charakterze asystenta domu Stradomskiego, a potem od 1903 r. jako jego superjor, który w sprawie naszych wypraw za oceany mocno i skutecznie dopomagał. W początkach 1903 r. po serdecznych rozmowach i naradach z księdzem Lewandowskim, (który wówczas dość ciężko



XX. Misjonarze zebrani w Thomas Coelho na uroczystość 25-lecia pracy w Brazylji.

i długo chorował) zgodził się ksiądz wizytator Kiedrowski na obydwie wyprawy zamorskie i postanowił, aby niebawem po otrzymaniu pozwolenia od O. Generała wyjechały dwie grupy polskich Misjonarzy do południowej i północnej Ameryki. Przy naradach nad tem wielkiem przedsięwzięciem górowały zawsze idealne, Boże pobudki: tj. chwała Boża przez ratunek opuszczonych polskich wychodźców, a w dalszej perspektywie widział zamiar i gotowość nawracania dzikich Botokudów w Brazylji. Ubocznie zaś nie była wykluczona nadzieja, że Bóg dorzuci ubogiej polskiej prowincji coś z dóbr doczesnych, gdy szczerze i bezinteresownie szukać będziemy Królestwa Bożego. O jak nas radowała ta myśl, że w ogólnem dobru, coś dla Boga, Kościoła i Ojczyzny zdziałać będziemy mogli („gesta Dei per Polonos").

Do grupy brazylijskiej byli upatrzeni z wychowanków Małego naszego Seminarjum ks. Bolesław Bayer, jako superjor przyszłego domu w Thomas-Coelho, oraz księża Hugo Dylla i Franciszek Chylaszek i br. Aleksander Węgrzyn. Do Stanów zaś Zjednoczonych Ameryki północnej wyznaczeni zostali: ksiądz Jerzy Głogowski, jako przyszły przełożony, i towarzysze podróży księża Paweł Waszko i Franciszek Trawniczek.

Podkreślić tu wypada ofiarną gotowość tych młodych Misjonarzy, którzy oddali siebie i wszystko, co mieli, byle tylko pójść za głosem powołania. Szczególniej zaś to pełne poświęcenie szanować nam wypada w ks. Bayerze, ówczesnym superjorze kleparskim, który na wezwanie, czy gotów jechać w te dalekie strony, zmagając się ze sobą, wypowiedział, wraz z głębokiem westchnieniem, to wielkoduszne słowo: „Pojadę!"

Gdyby nie to jego mężne słowo, możeby ta wyprawa, z braku starszego przewodnika, na dłuższy czas się przeciągnęła, bo ks. Lewandowski brany do niej w rachubę, był wtedy po ciężkiej chorobie uzdrowieńcem. (Nie pojechał więc do Brazylji, lecz poszedł w miejsce ks. Bayera na superjora do domu kleparskiego (1903 r.).

Wszystko też zdawało się pomyślnie układać dla tych misji dalekich.

O. Generał Fiat był zasadniczo naszym zamierzeniom bardzo życzliwy, tem bardziej, że przy jego boku miała wówczas prowincja krakowska chętnego i biegłego orędownika w osobie księdza Jana Dihma, który jako sekretarz w Paryżu spraw naszego Zgromadzenia w Polsce pilnował, i wszystko, jak mógł, ułatwiał. Na wyższych zaś studjach teologicznych w Rzymie bawili w tym samym czasie nasi młodzi kapłani: księża B. Szulc, Bączkowicz Fr. i Jan Weissmann, którzy w razie potrzeby pomagali nam, w czem tylko mogli. Nadeszły szczęśliwie z Paryża do Krakowa pozwolenia i potrzebne dokumenta dla naszych Misjonarzy, gotowych już do dalekich podróży. W tem, jak grom, uderza w nas wiadomość niespodziewana, że umarł ks. arcybiskup Katzer, a jego następca, nie życząc sobie snadź polskich Misjonarzy w Milwaukee, unieważnił wszelkie układy, jakie z nami zmarły Arcypasterz poczynił (czy też uważał poprzednie umowy za niebyłe). Wobec tego musiano wstrzymać wyprawę do Stanów Zjednoczonych i wyczekiwać dalszego rozwoju wypadków.

Grupa zaś brazylijska przygotowała się gruntownie do dalekiej podróży.

W tym czasie nadeszła opatrznościowo duża ofiara na rzecz misji, która pokryła koszta wyprawy. Zgromadzenie zaopatrzyło Misjonarzy hojnie we wszystko, co tylko mogło im być potrzebne i pożyteczne, zwłaszcza, iż z początku sądzono, że gorsze i prymitywniejsze są stosunki w Paranie, niż to było w rzeczywistości. Dzień wyjazdu naznaczony został na 28 kwietnia 1903 r., który to termin przełożono później na dzień 19 maja tegoż roku, a to z powodu trudności wojskowych, jakich br. Aleksander doznał w ostatniej chwili. To opóźnienie okazało się opatrznościowe, gdyż okręt „Chili“, którym nasi podróżnicy mieli płynąć do Brazylji, zatonął przypadkowo w samym porcie w Bordeaux.

Nie chcemy tutaj opisywać serdeczności, z jaką Kon-

fratrzy trzech domów krakowskich żegnali odjeżdżających współbraci. Dla polskich Misjonarzy data 19 maja 1903 r. stała się jakoby przełomową w rozwoju historji prowincji krakowskiej, z nią otwierają się nowe niezwykłe widnokręgi



Grupa pierwszych Misjonarzy w Brazylji.

pracy misyjnej poza oceanami. To też błyszczały oczy łzami, nowy jakiś zapał gorliwości przenikał serca obecnych i szły najszczersze życzenia za odjeżdżającymi. Wszyscy zresztą żywo uświadomili sobie to, że za tą pierwszą wyprawą brazylijską pójdą niedługo następne, aby zająć nowe placówki pracy, a może w przyszłości otworzy się wdzięczne pole misyjne nad nawracaniem Botokudów lub Indjan w lasach brazylijskich. W takim podniosłym nastroju ducha pojechała więc

pierwsza wyprawa zamorska polskich Misjonarzy, wychowanków Małego Seminarjum krakowskiego. Podążali przez Wiedeń, Monachjum do Paryża, gdzie ich O. Generał serdecznie witał i ze Swem błogosławieństwem do Lourdes jechać pozwolił, skąd wyruszyli do portu Bordeaux i wsiadłszy na okręt „Amazonka“ przepłynęli ocean, dotarli szczęśliwie do Brazylji, a potem do Kurytyby, stolicy Parany i osiedlili się wreszcie w cichej i uroczej polskiej parafji w Thomas-Coelho. Witał ich tam nowy świat, nowe stosunki parafji, ale chyba te same kochające serca polskich tułaczy i wychodźców.

Niebawem wyruszyły do Parany polskie Siostry Miłosierdzia z prowincji poznańskiej, a błogie owoce ich działalności świadczą głośno, jak były tam potrzebne dla dobra naszych rodaków. Obok Sióstr Miłosierdzia osiadły w Paranie Siostry Rodziny Marji, rywalizujące z tamtemi w ofiarnej pracy nad Polakami.

Nie jest naszym zamiarem opisywać tutaj historji i dalszego rozwoju tej zamorskiej placówki misyjnej, monografji poszczególnych domów, prac apostolskich, trudów, krzyżów i błogosławieństw Bożych, jakie temu zbożnemu dziełu towarzyszyły, gdyż to sięgałoby daleko poza wiązankę wspomnień o 1903 roku.

Dość wspomnieć o tem, że nasi młodzi Misjonarze stanąwszy na ziemi brazylijskiej nie ograniczyli się do pracy w parafji Thomas-Coelho, ale przenieśli ją do sąsiednich kolonij i parafij, odprawiając liczne misje i wyprawy apostolskie. W następnym roku 1904 objęło nasze Zgromadzenie ważną placówkę misyjną w Lucenie (Itayopolis), leżącą w stanie Sta. Catharina i w sąsiedztwie dzikich Botokudów, których część z czasem polscy nasi Misjonarze przez nauki pozyskali dla Chrystusa. Nowi też pomocnicy z Europy przybywali w razie potrzeby do owej znojnej pańskiej winnicy, jak ks. Tomasz Sołtysik (1904 r.), ks. Jacek Mięsopust (1905) i całe szeregi polskich Misjonarzy, którzy dziś od wielu lat na różnych polach ofiarnie pracują.

Konsulowie austrjaccy p. Bertoni, a później p. Okęcki

życzliwie popierali rozwój naszego Zgromadzenia w Brazylji dla dobra Polaków. Mówiono wiele i radzono, jak podnieść szkolnictwo polskie, czyniono starania u rządu austrjackiego o zapomogę wydatniejszą, gdyż chciano obok parafji w Kurytybie utworzyć jakąś wyższą szkołę polską.



X. Głogowski.

W tem roku 1905 rozpętała się wielka burza na polskich Misjonarzy w Brazylji, wywołana ze strony tych, którym religijna praca naszych kapłanów była solą w oku. Okazją do tego były opisy stosunków brazylijskich przez jednego z naszych księży, do Europy posłanych, skreślonych, które nasi nieprzyjaciele podali w wyjątkach do wiadomości władzy miejscowej, czem czując się dotkniętemi, dygnitarze tamtejsi, uwięzili owego kapłana i zażądali usunięcia go z Brazylji, co też nastąpiło.

Czas jakiś była obawa, że ten los spotka innych polskich Misjonarzy. To się nie spełniło. Nasi Misjonarze prze-

trwali cierpliwie te ciężkie czasy, ale ta burza była okazją, żeśmy nie objęli dwóch ważnych placówek, jakie się nam wówczas otwierały: w Kurytybie i w Ponta Grossa.

Lecz te czarne chmury przewaliły się i słońce Opieki Bożej jeszcze jaśniej zabłysło po tem doświadczeniu Bożem nad dziećmi św. Wincentego w tej zamorskiej misji. Dzisiaj bowiem, z tego maleńkiego ziarnka gorczycznego, wyrosło wielkie drzewo, którego konary rozciągają się na trzy stany



X. Trawniczek.

Brazylji: Paranę, Sta. Catharina i Rio Grande de Sul. W 14-tu parafjach czy placówkach misyjnych pracuje obecnie 22 polskich Misjonarzy; a są to wszyscy wychowankowie Małego Seminarjum krakowskiego! Podkreślić wypada tutaj i to, że dwaj z nich ks. Bolesław Bayer i ks. Franciszek Chylaszek obchodzą w tym roku ćwierćwiecze pobytu i pracy apostolskiej na ziemiach brazylijskich!

Druga zaś wyprawa polskich Misjonarzy, wychowanków Małego Seminarjum, mimo gotowości wyjazdu do Stanów Zjednoczonych, nie mogła tego uskutecznić, jakeśmy to po-

przednio zaznaczyli, gdyż po śmierci Arcybiskupa Katzera, nie życzyły sobie tamtejsze czynniki miarodajne, by nasi Misjonarze objęli wraz z wspaniałym kościołem parafję w Milwaukee.

Zawód był dla nas i przykry i niespodziewany. Zgodziliśmy się z tą koniecznością narzuconą, ale już nie porzucono, ani wykorzenić nie było można zamiaru pracy nad Polakami w Stanach Zjednoczonych. Z tej też przyczyny trzej młodzi Misjonarze, do tej pracy poprzednio wyznaczeni, byli w ciąglem pogotowiu i czekali jakoby sygnału do wyjazdu, gdy ta chwila za zrządzeniem Boskiem nastąpi. Upływały miesiące oczekiwania i nie zanosiło się, by ta wyprawa do skutku prędko dojść mogła. A jednak nastąpiło to jeszcze 1903 roku. Narzędziem, czy bezpośrednią okazją tej wyprawy misyjnej stał się ks. Nawrocki, proboszcz z Brooklyn'u, który tego roku w Krakowie przebywał i przypadkowo dowiedział się o zamierzonym wyjeździe polskich Misjonarzy do Ameryki północnej. Zgłosił się zaraz osobiście do naszych księży w Krakowie i serdecznie nas zachęcał do ratunku i pracy nad Polakami, czy to przez misje, czy na parafjach lub w innych dziedzinach gorliwości apostolskiej, tak dla dobra ludu i polskich kapłanów. Na początek zaś tych zajęć, których nam, jak mówił, w Ameryce nie zabraknie, zamówił sobie, by nasze Zgromadzenie odprawiło w jego parafji w Brooklynie dwutygodniową misję i to jeszcze w adwencie 1903 r.

Myśl podjęcia pracy misyjnej nad Polakami w Ameryce północnej bardzo nam do serca przypadła. Misje miały być na razie głównym i bezpośrednim celem, ale nie była wykluczona możliwość objęcia przez nasze Zgromadzenie parafji i duszpasterstwa nad ludem polskim. Było w tem pewne ryzyko wyjeżdzać do Ameryki, gdy się nie miało tam stałego punktu oparcia i dlatego ks. wizytator Kiedrowski wahał się wysyłać jakby na niepewne młodych Misjonarzy. Zdaje się, że nie bardzo też dobrze patrzano i gdzieindziej na tę ówczesną nowość, że tworzono placówki misyjne za

oceanem, które miały być zależne od prowincyj europejskich. Tymczasem ks. proboszcz Nawrocki, powróciwszy do Ameryki doniół nam, że jego Biskup serdecznie zaprasza polskich Misjonarzy do pracy misyjnej w Brooklynie i że otwierają się różne pola pracy apostolskiej. Powiadomiono o tem ks. wizyt. Kiedrowskiego, który wizytował wówczas domy Sióstr Miłosierdzia w Poznańskiem i na Pomorzu Pamiętając o tem, że na wyjazd do Ameryki musi być nowe



X. Waszko, wicewizytator.

pozwolenie O. Generała, bo poprzednie wygasło do Milwauke, z niemałem napięciem ducha wyczekiwaliśmy, jak się to wszystko zakończy. W tem, z początkiem października 1903 r., nadszedł list z Pomorza od ks. wizytatora Kiedrowskiego na ręce ks. Lewandowskiego z tem poleceniem, ażeby księża: Waszko, Trawniczek i Głogowski jechali w trójkę do Ameryki północnej, jeśli ks. proboszcz Nawrocki podróż opłaci.

Na podstawie tego zarządzenia rozpoczęto czynić po śpieszne przygotowania do dalekiej podróży i ustalono termin wyjazdu na dzień 19 listopada. Pieniądze na drogę pożyczył

ks. superjor Kryska ze Stradomia, które miały być wkrótce zwrócone i to jeszcze ze spodziewanym naddatkiem do kasy prowincjonalnej w Krakowie, co też rzeczywiście nastąpiło.

Dzień 19 listopada 1903 r. stał się tak samo przełomową datą historyczną w rozwoju prowincji polskiej, jak pół roku temu dzień 19 maja. Dwiema temi wyprawami misyjnemi rozciągnęło nasze maluczkie Zgromadzenie swe konary olbrzymie na południową i północną półkulę świata.

Pierwszy wyjazd polskich Misjonarzy przypadł w maju, przy ciepłych blaskach słonecznych i rozbudzonego wiosną życia w wszechświecie, drugi zaś nastąpił późną mroczną jesienią, w czasie przykrej słoty i deszczu ulewnego i zamierania życia w świecie roślinnym. W takim to dniu stawili się krzepko na dworcu krakowskim ksiądz Jerzy Głogowski, dyrektor misji amerykańskiej z towarzyszami podróży ks. Pawłem Waszko i ks. Franciszkiem Trawniczkiem. Mimo serdecznego żegnania ze strony współbraci z trzech domów krakowskich i porywającego przemówienia ks. wizytatora Kiedrowskiego i szczerej radości, jaka nas ożywiała z dojścia do skutku tej misji za Oceanem, ogarniał wszystkich poważny nastrój ducha i jakaś głęboka zaduma. Wiedzieliśmy przecież, że ci drodzy współbracia jadą daleko w świat nieznany, gdzie ich czekają ciężkie prace, przeróżne cierpienia i przejścia, że licząc na Opatrzność Boską wszystko, jakby przebojem, zdobywać będą musieli. Mimo to wyruszyli polscy Misjonarze mężnie, jako żołnierze Chrystusowi, umocnieni miłością Bożą i na wszystko gotowi z tem hasłem: Dla Chrystusa, dla dobra Zgromadzenia i dla zbawienia dusz. Liczyli więc najwięcej na pomoc Boską, boć w imię posłuszeństwa jechali i z błogosławieństwem swych wyższych przełożonych, tu w Krakowie i tam w Paryżu, jak byli przekokonani. Co się tyczy błogosławieństwa od O. Generała, to dla ścisłości trzeba tu zaznaczyć, że ono dopiero później ich dosięgło, gdy byli w drodze, czy już na ziemi amerykańskiej. Zaszła bowiem tutaj przykra sprawa, że O. Generał o tej drugiej naszej wyprawie do Ameryki północnej nie był

w swoim czasie poinformowany, z powodu jakiejś pomyłki, czy przeoczenia ze strony księdza wizytatora Kiedrowskiego. Gdy nas o tem za pośrednictwem księdza Dihma przestrze-



Otwarcie i poświęcenie polskiego konsulatu w Kurytybie.

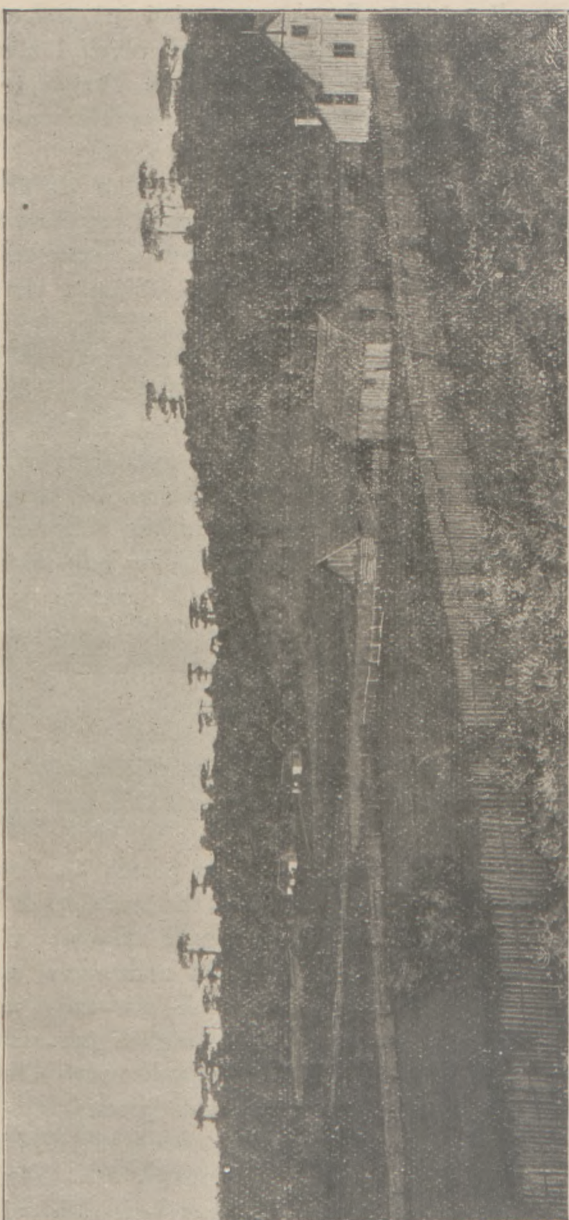
żono, poszły z Krakowa serdeczne listy do O. Generała z oświadczeniem szczerej uległości i najlepszej woli i z dołączeniem gorącej prośby, by Następca św. Wincentego a Paulo nie pomnąc, co mogło być w tem wszystkiem, co zaszło, niewłaściwego, wyciągnął swą ojcowską rękę i polskiej wy-

prawie misyjnej w Ameryce północnej serdecznie pobłogosławił, co też on ze serca uczynił. To zaś błogosławieństwo Przełożonego Generalnego dla naszych polskich Misjonarzy bardzo było potrzebne, a w skutkach dziwnie owocne.

Ufali oni wprawdzie Bogu, ale też zdawali sobie sprawę z tego, że niepewna ich przyszłość, a ciążyło im w duszy i to, że dalsze losy naszego Zgromadzenia w Ameryce północnej zależeć będą, w większej części, od tego, jakie owoce przyniosą ich prace i w jakim kierunku pójdą i ukształtują się stosunki w niedalekiej przyszłości.

Jako niegdyś niewiasty ewangeliczne, idące z wonnościami do grobu Chrystusa, mówiły między sobą „któż nam odwali kamień od drzwi grobowych!“ tak ci nasi Misjonarze, mimo wielkich zapasów poświęcenia apostolskiego i gotowości na wszystko, myśleli o niejednym kamieniu, który im dusze przygniatał. Ale Pan Bóg radzi o swej czeladzi. Bo jako tamtym niewiastom zesłał Bóg anioła, który im odwalił kamień grobowy, tak i naszym kapłanom Opatrzność Boska sprawiła miłe niespodzianki. Nietylko bowiem dobroć Boża usuwała im kamienie przykrości w drodze na morzu i przy wylądowaniu na ziemi amerykańskiej, ale nim dobili do przystani, przygotowała im niespodziewanie w New Haven parafję, która miała być dla nich i punktem oparcia i jakby kamieniem węgielnym dalszej rozbudowy nowych placówek misyjnych w Stanach Zjednoczonych dla prowincji krakowskiej.

Bo oto ledwie nasi podróżni przepłynęli ocean i stanęli na ziemi amerykańskiej, na początku grudnia 1903 r., już czekał na nich telegram z Europy od ks. wizyt. Kiedrowskiego z wezwaniem, aby się stawili niezwłocznie u księdza biskupa z sąsiedniego Hartfordu. Gdy więc ks. Głogowski stanął przed ks. Tierney, biskupem z Hartfordu, ze zdziwieniem dowiedział się, że ów dostojnik kościelny oddaje polskim Misjonarzom probostwo w Hew Haven, które też faktycznie przyjęli, po otrzymaniu telegraficznego pozwolenia od księdza wizyt. Kiedrowskiego. Tak więc nasi Misjonarze,



Krajobraz brazylijski.

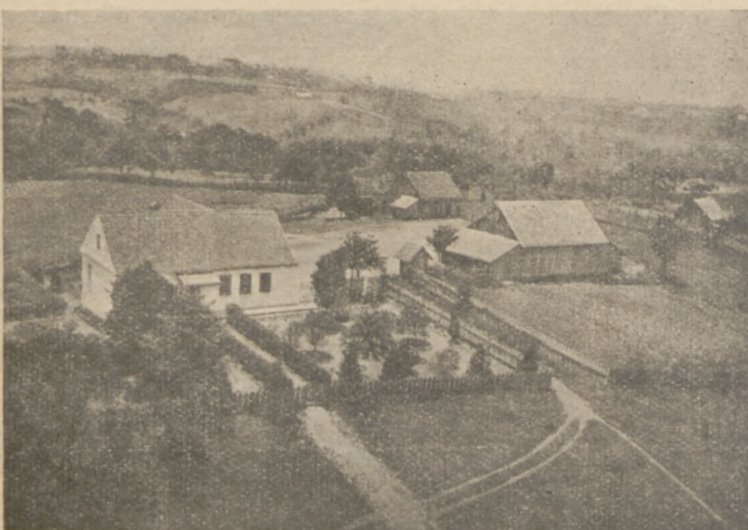
zanim rozpoczęli misje w Brooklynie, mieli już probostwo, które po skończonych pracach misyjnych objęli 1 stycznia 1904 r., a za tydzień później przyszedł z Paryża (drogą Kraków), patent dla ks. Głogowskiego na superjora nowego domu w Ameryce północnej.

W tenże zaś sposób doszło to wszystko do skutku. Ksiądz biskup z Hartford żył w serdecznej przyjaźni z ks. biskupem z Springfield, tak iż codziennie telefonicznie ze sobą rozmawiali. Otóż pewnego poranku ks. biskup z Hartford rozmawiając, jak zwykle, z tamtym dostojnikiem, wynurzył się szczerze przed nim, że dużo się modlił i prosił Pana Boga, aby mu zesłał do jego diecezji dobrych polskich kapłanów, których potrzeba jest tak wielka, iż z ich braku w kilku miejscowościach doszło wśród Polaków do wzburzenia i niepokojów i delegat apostolski polecił mu te sprawy załatwić. Na to mu odpowiedział ks. biskup z Springfield, że prośba jego jest wysłuchana, gdyż właśnie jadą do Ameryki, w celach misyjnych, trzej polscy Misjonarze, jak mu świeżo doniósł o tem ks. prałat Schmitz-Didier z jego diecezji, który od dłuższego czasu bawi w Krakowie u księży Misjonarzy na Stradomiu.

Z tej więc wiadomości skorzystał skwapliwie ks. biskup Tierney i oddał parafją w New Haven polskim Misjonarzom. Przedziwne są drogi Opatrzności Boskiej!

Nasi Misjonarze odprawiali niedługo po przyjeździe do Ameryki walne dwutygodniowe misje w parafji ks. Nawrockiego w Brooklynie z wielkim pożytkiem dla tamtejszych Polaków. W dodatku pracowali jeszcze przez kilka dni z wielkiem poświęceniem i trudem w ciężkich nadzwyczaj warunkach na wyspie Long Island, gdzie jak prawdziwi dobrzy pasterze nie tylko odbywali misje, ale szukali porozrzucane polskie owieczki i oddawali je z miłością Jezusowi Chrystusowi. Po tych trudach i wyczerpujących pracach nie mieli nasi robotnicy ani czasu na potrzebny spoczynek, lecz przeszli bezpośrednio do nowych zajęć apostolskich. Początki też pracy parafjalnej w New Haven nie były dla ani roz-

koszne, ani różowe. Parafja ta była wtedy niewielka (860 dusz), za kościół służył dawny sklep korzenny, stara plebanja była za ciasna dla trzech księży, a co gorsza, parafjanie, za poprzedniego proboszcza niezadowoleni i pobuntowani, nie byli przychylnie usposobieni. Prócz pracy duszpasterskiej w tej parafji, mieli nasi księża przez biskupa nałożony obowiązek, obsługiwać dwie dalsze miejscowości w Derby i Terryville, dokąd też jeździli, dopóki nie pracowali na misjach. W krótkim czasie wszystko się zmieniło na lepsze.



Krajobraz brazylijski.

Parafjanie w New Haven bardzo pokochali księży Misjonarzy, a szczególniej swego proboszcza ks. Głogowskiego, za którego staraniem nabyli już w sierpniu 1904 r. protestancki kościół po Szwedach, który odpowiednio urządzili i potem (23/10) uroczyście poświęcili. Parafja rosła jak na drożdżach, rozwijało się w niej życie kościelne, narodowe i społeczne wszechstronnie. Później znacznie wybudowano

w New Haven, z wielkim nakładem, nowy, wspaniały kościół, plebanję i okazałą szkołę parafjalną. W roku 1905 zorganizował ks. Głogowski, na życzenie ks. Biskupa parafję w Derby, gdzie także wybudowano nowy kościół i mieszkanie dla księży i szkolę parafjalną.

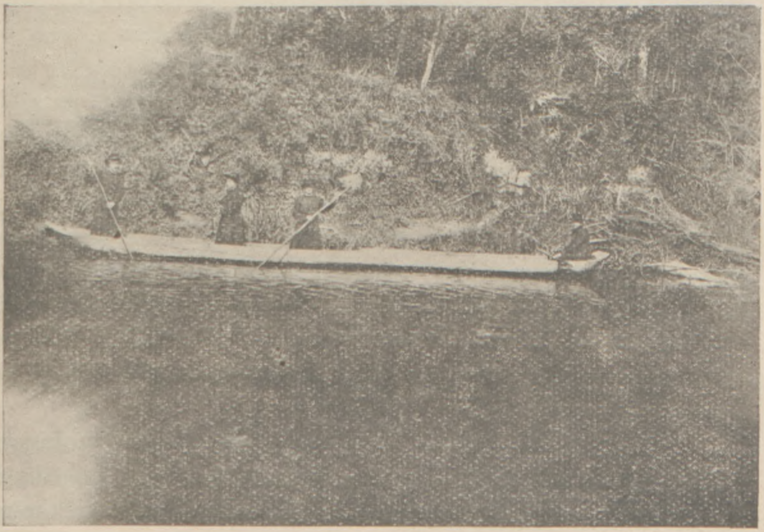
W toku tych wielorakich zajęć połapał się bystry ks. Głogowski w kilku sprawach, które mogły ujemnie zaważyć na dalszych losach naszego Zgromadzenia w Ameryce północnej, gdyby się im wczas nie zapobiegło.

Pierwszą z nich był brak mocnej podstawy dla naszego domu w New Haven, jeśli się weźmie pod uwagę ówczesne stosunki amerykańskie, według których dopiero po pięciu latach rektorzy kościołów parafjalnych nabywali prawa nieusuwalności, nam zaś jako Zgromadzeniu potrzebne było nadto, prócz zgody miejscowego biskupa, pozwolenie rzymskiej Propagandy. O to więc pozwolenie z Rzymu bardzo się starał ks. Głogowski, obawa zaś usunięcia naszych Misjonarzy z diecezji okazała się bezpodstawną wobec życzliwości księdza biskupa Tierney, jaką naszemu Zgromadzeniu stale okazywał.

Równocześnie poczęli się rozglądać tu i ówdzie, czyby się nie dało dostać czy nabyć jaki dom lub realność na własność dla naszego Zgromadzenia i tak stanąć mocną nogą na ziemi amerykańskiej. Te życzenia naszych współbraci niebawem się spełniać zaczęły. Misjonarze polscy zyskali w diecezji filadelfidzkiej dwa domy w miejscowości Conshohoken, w zdrowej i pięknej okolicy niedaleko Filadelfji. Jeden dom podarował, 1904 r., naszemu Zgromadzeniu ksiądz Tomiak (proboszcz w Manayunk), przy którym później zbudowano kościół z zamiarem urządzenia nowej polskiej parafji. Drugi zaś dom, a raczej willę w parku nabyli polscy Misjonarze okazyjnie dość tanio własnym kosztem, by tamże pobudować przyszłe kolegjum polskie, które uważali za bardzo pożyteczne dzieło i jak na stosunki amerykańskie za rzecz możliwą. Budowa kolegjum przy pomocy życzliwych przyjaciół w Ameryce miała być w części dokonana jeszcze w 1905 r.,

ale dla pewnych przeszkód odłożono ją do następnego roku. Przyjechali już z Europy księża Misjonarze jako przyszli profesorowie tej wyższej uczelni polskiej. Były atoli inne zamiary Opatrzności Boskiej, że te plany naszych współbraci wówczas się nie ziściły.

W Europie, a względnie w krajach polskich, po wojnie rosyjsko-japońskiej nastały nowe stosunki i nowe czasy. Po klęsce wojennej Rosja wstrząsana wewnętrznemi niepokojami



Krajobraz brazylijski.

otwarła 1906 r. swe pilnie strzeżone granice i pozwoliła na misje ludowe na ziemiach polskich, z czego skorzystało i nasze Zgromadzenie wysyłając do Królestwa Polskiego licznych Misjonarzy. Zapanowała nieopisana radość u Polaków, rosły wśród naszych nadzieje powrotu do Warszawy i do dawnych domów naszego Zgromadzenia.

W tymże też roku 1906 ustąpił z urzędu wizytatorskiego ksiądz Józef Kiedrowski, a nowo mianowany wizytator ksiądz Kasper Słomiński ujął ruch misyjny do Królestwa

Polskiego w swe ręce i jeździł tam w sprawach Zgromadzenia, któremu wielkie, nowe pole pracy otwierać się zdawało. W tym nastroju ducha wybrał się ksiądz wizytator Słomiński pod jesień 1906 r. na wizytacje naszych domów do Ameryki północnej, a stamtąd ruszył do Ameryki południowej. Wynikiem tej wizyty było wstrzymanie budowy kolegjum polskiego w Conshohoken i usunięcie się z tych dwóch placówek w diecezji filadelfidzkiej, a to wszystko w tym celu, by siły misjonarskie skierować do nowych prac i zadań, jakie się naszemu Zgromadzeniu otwierały w Królestwie Polskiem.

Nie mamy zamiaru w tem krótkiem wspomnieniu opisywać historji naszych domów w Ameryce północnej, ani działalności apostolskiej i prac jakie podejmowali owi trzej pierwsi Misjonarze polscy, a później inni współbracia, którzy im z Europy na pomoc przybywali, chociaż wówczas nie przyszła jeszcze godzina odrodzenia naszej ojczyzny i na nowo szczelnie zamknęła Rosja granicę do Królestwa Polskiego, to przecież szlachetne zamiary ks. Głogowskiego i jego towarzyszy, lubo doznały zwłoki, ale nie poszły na marne.

W sześć lat później 1912 r. stanęły, dzięki zabiegom księdza Janowskiego, potężne mury kolegjum polskiego w Erie, skąd zaczęły wychodzić całe zastępy polskiej młodzieży z wyższem wykształceniem i zajmować następnie wybitne stanowiska w społeczeństwie polskiem. Powstawały nowe domy, mnożyły się zajęcia duszpasterskie, rozwijały się też misje ludowe, obok innych prac społecznych i narodowych.

Ksiądz Jerzy Głogowski przez swoich i obcych wysoko ceniony, padł, 1920 r., jak żołnierz Chrystusa na posterunku pracy, opromieniony zasługami dla Zgromadzenia naszego, Kościoła św. i Ojczyzny. Za nim poszedł po nagrodę niebieską wierny jego towarzysz pierwszej wyprawy do Ameryki północnej ks. Franciszek Trawniczek, który po 22 latach pracy w Ameryce przyjechał 1925 r. do Krakowa i tu pra-

cowitego żywota dokonał. Trzeci towarzysz ks. Głogowskiego z pierwszej wyprawy do Ameryki 1903 r., obecny ks. wice-



Krajobraz brazylijski.

wizytator Paweł Waszko, obchodzi w tym roku 25 letni jubileusz pobytu i pracy apostolskiej w Ameryce północnej, gdzie w 6 domach naszego Zgromadzenia, należących do prowincji polskiej w Europie, pracuje 25 polskich Misjonarzy.

Jak przed 25-ciu laty nasi konfratrzy zapoczątkowali misje w Ameryce.

„Najważniejszem zdarzeniem w ostatnim kwartale był wyjazd naszych konfratrów do Ameryki południowej. Po wielu przeszkodach i trudnościach nasi konfratrzy: ks. Bolesław Bayer, superjor, X. Hugo Dylla, X. Franciszek Chylaszek i br. Aleksander Węgrzyn wyruszyli wreszcie do Brazylji dnia 19 maja, żegnani przez reprezentantów wszystkich trzech domów krakowskich". Oto, co notuje kronika „Roczników" z przed 25-ciu lat. A w równe sześć miesięcy potem wyrusza druga grupa do Ameryki północnej: XX. Głogowski, Waszko i Trawniczek.

I poszły te dwie falangi żniwiarzy Chrystusowych, wezwane przez samego Pana „na żniwa", poszły hen, za ocean, by nosić Imię Jego przed narodami, by pomnażać i zbierać plony kalwaryjskiego siewu, by tysiącom opuszczonych i łaknących naszych rodaków łamać chleb Słowa Bożego.

I poszli ci pionierzy idei Chrystusowej, opuszczając kraj rodzinny, rodziców, konfratrów, opuszczając wszystko, co tu ukochali i z narażeniem życia poszli, by tam daleko, na wyznaczonych posterunkach pełnić ciężką i ofiarną służbę dla Boga i Ojczyzny.

A że nie łatwa była rozłąka, świadczą własne ich słowa: „Pożegnawszy się z konfratrami na dworcu, ruszyliśmy w drogę przekonani, że taka wola Boża. Podróż mieliśmy spokojną aż do granicy śląskiej. Skoro zobaczyliśmy słupy graniczne, żywiej nam zabiły serca, boć to przecie

ziemia rodzinna — tyle z nią powiązanych wspomnień młodości, tam rodzina mieszka. Nic też dziwnego, że aż do Gliwic płaszczyliśmy sobie nosy na szybach wagonów, co stacja wypatrywaliśmy za twarzami znajomych. Tu były ostatnie pożegnania najbliższych sercu naszemu. Za Opolem każdy z nas wcisnął się w kącik wagonu, zamknął oczy i myślał o konfratrach, o rodzinie, bo jakoś do rozmowy nam było nie sporo po przebyciu tylu wzruszeń w przeciągu kilku godzin".

Jednak pomni na słowa Zbawiciela: „vos, qui relinquistis omnia, centuplum accipietis et vitam aeternam possidebitis", poszli na trudy i prace, ufając, że im ten Zbawiciel będzie błogosławił, że ich opieką swą będzie otaczał, bo oni, wezwani przez niego, pełnili tylko jego wolę. Potwierdzają to słowa jednego z konfratrów: „Dziwne to doprawdy wrażenie, ze wszech stron otacza nas woda i woda, a my na łupince płyniemy w dal, w obce kraje, nie wiedząc co nas tam czeka, jak nas ta Ameryka przyjmie. Boć to, prawdę mówiąc, nikt nas tam nie wzywał, zaprosił tylko ksiądz X. obiecując, że pracy nie zabraknie, ale bądź co bądź, było to ryzyko z naszej strony. Nieraz też trapiły mnie rozmaite myśli, przewidywania, opędzałem się im jak mogłem i zawsze zasłaniałem się tem, że nie jedziemy przecież dla dogodzenia fantazji, tylko na pracę i to z woli Bożej; bo gdyby w tem nie było woli Bożej, to byłaby się znowu znalazła jaka przeszkoda, jakich już było wiele od samego początku, skoro tylko powstał projekt utworzenia misji w Ameryce północnej. Jeżeli więc Pan Bóg pozwolił, żeby etn plan dojrzał i został wykonany, to też nie opuści nas na ziemi amerykańskiej, lecz da pracę po którą jedziemy".

Nadspodziewanie nasi konfratrzy doznali bardzo gościnnego przyjęcia tak w północnej Ameryce jak i w południowej. Oto jak X. Hugo Dylla opisuje przyjęcie w Brazylji: „pełni otuchy i nadziei, że Bóg nam pobłogosławi w pracy na nowej ziemi, jechaliśmy do Thomas-Coelho. Dzień był piękny, nie gorący, po drodze spotykaliśmy co kilka kro-

ków jakiegoś Polaka, pozdrawiali nas, bo już rozeszła się wieść po całej okolicy, że księża polscy przyjechali. Po dwugodzinnej jeździe wychylił się kościółek z trzema wieżami, obok niego mała plebanja. Na powitanie puszczono rakiety, gromadka ludzi zbiegła się, by przypatrzeć się nowym księżom. Już trzy miesiące nie mieli nabożeństwa, a tu naraz przyjechało aż trzech księży. — Niech się jegomoście nie boją — mówili — u nas, dzięki Bogu, chleba dość.

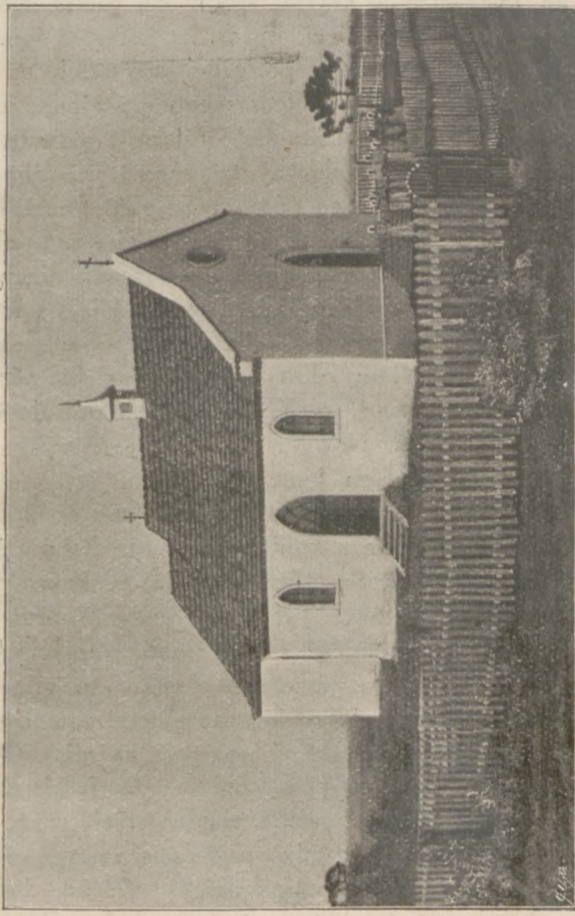
Plebanja mała, dość zrujnowana, ale powoli wszystko się odrestauruje. Za to kościół bardzo przyjemny i gustowny.

W pierwszym dniu dziwnie nam się przedstawiała nowa nasza siedziba, wokoło pusto i głucho, bo kilka tylko widać domków i to w znacznej odległości jeden od drugiego. Zato widok pyszny na wszystkie strony.

Rozeszła się wieść po całej kolonji, że księża już przyjechali i nabożeństwo będzie. Już po godzinie 10 był cały tłum kolonistów przed kościołem. Zapomniałem, żem w Brazylji, zdawało mi się, żem gdzieś w Galicji na misji. Wszystko jak w Polsce, ci sami poczciwi i pobożni Polacy, takie same zwyczaje, ten sam ubiór, to samo nabożeństwo, te same pieśni w kościele, te same psalmy na nieszporach".

A teraz przypatrzmy się ich pracy misyjnej. Nie zawsze była ona wdzięczna i pocieszająca ze względu na różne wady i nałogi, a nawet nieraz złą wolę miejscowej ludności, ale po większej części sprawiała prawdziwą radość sercu misjonarza. Oto jak jedną z takich misyj w Brazylji opisuje X. Hugo Dylla: „Rozpocząłem tedy misję, która trwała 5 dni. Rodzin wszystkich jest tylko 80, wszyscy brali udział w misji. Lud dobrze pouczony o obowiązkach religijnych, wszyscy znają doskonale katechizm, a dziecko dopiero po długiem przygotowaniu przypuszczone jest do pierwszej spowiedzi św. W kościele nikt nie przemówi. Pierwsze dni pracowałem sam od rana aż późno w noc. W każdy wieczór czekali już na mnie koloniści, musiałem im opowiadać o Polsce, o Krakowie, bo pewną mają nadzieję, że już niedługo, a Polska powstanie... Przywiązałem się całem sercem do tych

poczciwych ludzi, wśród nich było mi jak w domu... W trzeci dzień nadjechał późnym wieczorem X. Wróbel. Praca szła raźno, w sobotę była wspólna Komunja św. Na niedzielę wyjechał już X. Wróbel do siebie, pozostałem sam znowu na postawienie



Kapliczka w Brazylji.

krzyża misyjnego. Była to uroczysta i rzewna chwila. Wielki imbujowy krzyż, spowity w kwiaty i w zieleń, obniesiono w uroczystej procesji naokoło kościoła wśród śpiewu „Krzyżu święty" i t. d. Święte wzruszenie ogarnęło wszystkich! Nie

tak dawno i na tem miejscu, gdzie stoi kościółek, był las — dziś Opatrzność pozwoliła postawić pierwszy polski krzyż misyjny. Byłem tu sam tylko, ale czułem, że nasze maleńkie Zgromadzenie obchodziło wielki triumf. Nie wiem co się stało, ale na poświęceniu krzyża zrobił się wielki lament, rozpłakali się wszyscy jak dzieci, upadli na kolana i śpiewali „Boże coś Polskę". Tęsknota porwała wszystkich za rodzinnym krajem, u stóp krzyża misyjnego szukali ukojenia, tu błagali Boga o miłosierdzie nad Polską i powrót do ojczyzny. Bóg zapewne wysłuchał tak rzewnej modlitwy".

Gorzej było w Ameryce północnej, gdzie nasi konfratrzy zmuszeni byli pracować po nocach, ponieważ w ciągu dnia, oprócz małej ilości kobiet, nikt do kościoła nie przychodził. Gdy do tego dodamy mniej przyjemne, a raczej wcale nieprzyjemne zewnętrzne okoliczności, zobaczymy na jakie nieraz zaparcie musi się zdobywać misjonarz dla sprawy Bożej. Posłuchajmy, jak ś. p. X. Trawniczek opisuje taką wycieczkę misyjną: „Za Nowym Yorkiem jest wyspa na którą wywożą wszystko, co kucharki z kuchni wyrzucają, a przedewszystkiem wszystko, co tylko zdechnie w Nowym Yorku i w Brooklinie. Tam z koni i innych bydlaków ściągają skóry, mięso preparują, tłuszcz topią, a kości palą. Pracuje tam dużo Polaków. Tam tedy i tym oprawcom postanowiliśmy pociechę zanieść. Więc rano wcześnie proboszcz, X. Głogowski, i ja, jeszcze pociemku, to górnemi, to dolnemi elektrobiegami dotarliśmy do morza. Zimno było przejmujące. Jaka wyspa, taka i wyprawa na nią. Okręt mały, trzeszczy, brudny, a pan kapitan, to jakiś chłop amerykański, bo pluł orzechowo i ciągle gryzł tytoń, jak zając kapustę. Pół godziny jazdy, a już nas zalatywać poczęła miła woń produktów wyspiarskich. Wśród dymów czarnych, cuchnących, jak spalona sierść, wylądowaliśmy na tę wyspę. Cała ta wyspa wygląda jak śmietnisko, bo zresztą niem jest.

Idziemy do kaplicy — ni żywego ducha; dzwonimy, msze św. odprawiliśmy i do chłopa na śniadanie. Ludzie się

zeszli i my tu tak nad nimi przeszło półtora dnia pracowaliśmy. Wszystkoby było dobrze, tylko ten fetor. Wszystko nam nim prześmierdło — włosy na głowie, ubranie, nawet wino mszalne tem trąciło. Coś piekielnego w tym wstrętnym zapachu, jakby ktoś do kawy z mlekiem rycynusu nalał, tak wszystko tu jechało. W nocy myślałem, że już na pewno zwymiotuję, tak poduszka przeszła fetorem, tak, że proboszcz nawet na kamizelce głowę położył, by nos przegrodzić od poduszki".

Przypatrzmy się pracom tych mężów ewangelicznych, widzimy, że należy się szczególniejsza wdzięczność Bogu za to, iż pozwolił rozszerzyć się swemu dziełu poza granice Europy, poza ocean, a także wdzięczność tym kapłanom, których opatrzność użyła za narzędzie do przeprowadzenia swych planów i zamiarów na drugiej półkuli. Bo jeśli rzucimy okiem wstecz, na przestrzeń 25 lat, przestrzeń usłaną trudem i znojem, przestrzeń usłaną ustawicznem poświęceniem i przechodzącym nieraz siły wysiłkiem na niwie pańskiej, musimy uznać, że tylko dzięki obfitej rosie błogosławieństwa „Pana żniwa", dzieło misji polskiej w Ameryce jak owo ziarno gorczyczne rozrosło się w wspaniałe drzewo, którego konary rozpościerają się szeroko ponad dzikie prerje i pampasy brazylijskie, ponad huczące monotonnym rytmem pracy środowiska przemysłu Stanów Zjednoczonych.

J. Ł.

List X. J. Kominka do Najczcigodniejszego X. Wizytatora.

Itayopolis, 12 grudnia 1928.

Najczcigodniejszy Księże Wizytatorze!

Ł. P. n. J. Chr. n. z. b. z nami!

Spełniając życzenie Najczcigodniejszego Księdza Wizytatora, przesyłam nieco wiadomości o naszych leśnych sąsiadach-botokudach. Tym razem nie mam nic tak ciekawego do zanotowania, bo już spory kawał czasu upłynął od ostatniej mojej wyprawy nad rzekę Platé do „porto dos indios". Wprawdzie wielokrotnie zapraszali mię biedni indjanie, by ich odwiedzić w ich lasach, bo i spora gromadka dzieci i kilkunastu dorosłych czeka na przyjęcie chrztu św. Lecz jakże trudno oderwać się od nawału zajęć parafjalnych i wyjechać na dłuższy czas w bory; zresztą, żeby się dostać do „porto", to przeprawa tak trudna i niebezpieczna, że łatwo może człowieka odstraszyć. Dwukrotnie zdecydowałem się i wybrałem się w drogę i oba razy, choć już blisko byłem celu, musiałem z kwitkiem powracać do domu. Ścieżyna prowadząca z Bom Successo do „porto" przez linję Esperança, wskutek deszczów poobrywała się i pozarastała do tego stopnia, że dziś przedostać się tamtędy jest rzeczą wprost niepodobną. Na parę kilometrów przed Bom Successo trzeba się spuścić przez Rio da Louza w głąb rzeki Itayaby aż do Porto. Ten ostatni kawałek jest najtrudniejszy i najniebezpieczniejszy do przebycia, bo na tej

przestrzeni rzeka nie jest spławną; pełno z pod wody wystających kamieni, pełno wirów i spadów, tak, że o wypadek nie trudno. Przy małej wodzie w wielu miejscach trzeba łódkę przepychać, a po długotrwałych deszczach, gdy rzeka wzbierze, prąd jest tak silny, że uniemożliwia kierowanie łódką; porwana prądem łódka z gwałtowną szybkością przepływa liczne kaskady i łatwo ulega przewróceniu lub rozbiciu się o wystające skały.

Tak skończyła się jedna z ostatnich moich wypraw do bugrów. Było nas siedmiu; mieliśmy dwie łódki ciężkie, niezgrabne z jednolitego wyciosane pnia. Prąd był bardzo silny, bo rzeka wezbrała. Po krótkim namyśle zdecydowaliśmy się na jazdę. Ponieważ w tem miejscu rzeka zatacza ogromne półkole, wybrałem się pieszo na przełaj przez bór z dwoma towarzyszami podróży, aby w naznaczonem miejscu zrównać się z nadpływającemi łódkami. Przed godziną 9 wyruszyliśmy z miejsca noclegu, jedna partja dwoma łódkami wodą, a druga przez bór naprost. O godzinie 12 byliśmy już w miejscu oznaczonem, w którem miało nastąpić spotkanie się. Czekaliśmy aż do późnego wieczora, lecz naszej „floty" nie było widać. Nie wiedzieliśmy co począć. Powracać nad rzekę Rio da Lenza, siedm kilometrów przedzierać się przez gąszcze i parowy, wśród ciemności nocnych, nie należało do przyjemności. Przenocować nad brzegiem, bez wiktu, bez żadnego nakrycia, bez broni pod drzewem? Zdecydowaliśmy się na to ostatnie. Z trawy i gałązek usłaliśmy legowisko, rozpaliliśmy ogień, a w miejsce obiadu i kolacji wypiliśmy po garnuszku wody z rzeki i ułożyliśmy się spać. Nie upłynęło jeszcze pół godziny, dały się słyszeć jakieś głosy i nawoływania. Byli to dwaj towarzysze z naszej okrętowej załogi. Przynieśli nam tę smutną wiadomość, że nic z naszej wyprawy, bo obie łódki porwane prądem wpadły z taką siłą na skały, że się poprzewracały i rozbiły, a biedni majtkowie, zażywszy nie bardzo pożądanej kąpieli, ratując jeden drugiego, z trudem tylko dostali się do brzegu. Naturalnie, że wszystek nasz wikt, naczynia kuchenne, trochę ubrania, pre-

zenta przeznaczone dla bugrów i inne drobiazgi, to wszystko poszło z wodą. Dobrze jeszcze, że na tem się skończyło, bo cała ta awantura mogła wypaść fatalnie. Postanowiliśmy jeszcze w nocy powrócić na Rio da Lenza.

Po parogodzinnem błąkaniu i rozbijaniu się w lesie wśród głębokich ciemności, zaledwie o północy dotarliśmy do celu. Zastaliśmy naszych rozbitków w wielkiem przygnębieniu. Byli zgłodniali i zmęczeni, a jeden nawet dosyć dotkliwie potrzaskany i pokaleczony. Z całych zapasów żywności pozostało nam dwie łyżki kawy, lecz cóż to jest na siedmiu zgłodniałych? Połowę zgotowaliśmy jeszcze w nocy i każdy pokrzepił się filiżanką ciepłej, zabarwionej wody; drugą połowę zachowaliśmy na śniadanie na dzień następny. Spaliśmy na gołej ziemi, bez żadnej pościeli, z ręką pod głową. Wyprawiając się rano w stronę „porto“ odesłaliśmy konie nasze z siodłami i bagażami na kolonję, z poleceniem, żeby dopiero za trzy dni sprowadzono je z powrotem. To też rano, po śniadaniu podobnem do poprzedniej kolacji, musieliśmy zrobić pieszo 18 klm. drogi, pod górę, aby się dostać na kolonję.

Po paru miesiącach wybrałem się po raz drugi do bugrów; lecz i ta wyprawa skończyła się nie lepiej od pierwszej.

Bugrzy tymczasem nadaremnie czekali na moje zapowiedziane przybycie; a nie mogąc się doczekać, zrobili mi niespodziankę i wybrali się w odwiedziny do mnie. Na drugą niedzielę października (14/X. b. r.) miałem zapowiedziane nabożeństwo w kaplicy na Moemie. Dowiedzieli się o tem botokudzi i gromadka z jedenastu osób się składająca wybrała się na Moemę, w tym celu, aby mię zabrać z sobą na „porto“. Biedacy szli całą sobotę i całą noc przez bory śpiesząc się, aby mię zastać na Moemie. Wczesnym rankiem w niedzielę byli już na kolonji. Jakże się cieszyli, gdy wyszedłem do nich, jak witaliśmy się z sobą serdecznie. Widziałem, że są bardzo zmęczeni i zgłodniali. Rozłożyliśmy na podwórku ognisko, które kołem obsiedli i kazałem na

prędce przygotować dla nich śniadanie. Przyniesiono parę bochenków chleba, kilka litrów miodu, trzy potężne dzbanki kawy i to im podano do zaspokojenia pierwszego głodu. Pod koniec nabożeństwa wprowadzono ich do kaplicy, gdzie przed balaskami zrobiono dla nich miejsce; zbici w gromadkę pousiadali na podłodze i z największem zaciekawieniem trwali do końca nabożeństwa. Pierwszy raz w życiu byli w kościele na nabożeństwie. Samo wnętrze malowanego kościoła, ołtarz, obrazy, figury, wszystko to było dla nich dotąd niewidzianą nowością. Po nabożeństwie i po obiedzie wybrałem się z nimi w stronę kościoła parafjalnego, do Lenzy, zamiast do ich „porta“ do borów. Ponieważ mieli do zrobienia 26 klm., a byli strudzeni całodziennym i całonocnym marszem, jeden z kolonistów, poczciwy Jan Rozwód, ofiarował się furmanką odstawić ich do kościoła. Wybraliśmy się razem, oni razem, a ja obok konno. Droga choć była sucha, ale nierówna i wyboista, biedny Rozwód z trudem mógł utrzymać swe rosłe, dobrze utrzymane konie, wóz skakał, wpadając z jednej dziury w drugą, myślałem, że moi leśni goście żywi nie dojadą na miejsce. Oni jednak byli z tej jazdy bardzo zadowoleni, radość swą objawiając wybuchami wesołego śmiechu.

Lotem błyskawicy rozeszła się wieść, że bugrzy jadą do kościoła. Liczne gromady ciekawych wystawały po drogach, aby się przypatrzeć „dzikim“, bo choć to dawni nasi sąsiedzi, jednak mało który z kolonistów w swem życiu ich widział. Ci botokudzi tak okrutni, tak straszni, którzy tyle rodzin polskich w okrutny pomordowali sposób, ciż botokudzi dziś jadą do nas w odwiedziny. Już pod wieczór przybyliśmy na miejsce. Mieszkanie przygotowano dla nich w pobliskim niezamieszkałym domku, gdzie z całą swobodą mogli się rozlokować. Przygotowano obfitą kolację, bo słusznie spodziewano się, że nasi goście będą mieli apetyt niezgorszy. I w rzeczy samej trudno ich było nakarmić. Zabawili na kolonji aż do środy i obdarowani ubraniem i różnemi drobiazgami, powrócili do swych leśnych siedzib,

wciąż ponawiając prośbę, by koniecznie przyjechać do nich na „porto“. Obiecałem, że wnet przyjadę, choć nie bardzo wierzyłem, czy obietnicy naprawdę będę mógł dopełnić.

Zaledwie upłynęło cztery tygodnie, a w niedzielę, pod wieczór, dnia 4 listopada, zjawiła się druga gromadka indjan, złożona z 10 osób. Przyszli sami, aż do kościoła. Całą drogę z „porto“ aż do kościoła szli pieszo, to też byli bardzo strudzeni. Wybrali się w tak daleką drogę, bo im było zazdrość, że tamci otrzymali tak piękne prezenta, chcieli i oni coś dostać. Zaprowadziłem ich do naszego ogrodu, gdzie pousiadali na trawniku w sadzie pomarańczowym i co można było przygotować naprędce, tem ich raczono, aby pierwszy głód zaspokoić. A więc jeden i drugi bochenek żytniego chleba, kosz bułek, dwie miski miodu, dwa kilo kiełbasy i parę dzbanków kawy, oto, czem przyjęliśmy tak rzadkich gości. Wnet podano kolację i ku ogólnemu zdziwieniu, nietylko wnet uprzątnęli podaną kolację, lecz oświadczyli, że tego było zamało. Pan Karol Rewaj, dobry ich znajomy, bo już bywał na „porto“, w mig postarał się, aby goście nie poszli spać głodni. Przyniósł duży sagan mąki mandiokowej dosypał kilka kilogramów żółtego cukru, to zalał zimną wodą, wymieszał i podał im na deser ich ulubioną potrawę. To nareszcie ich nasyciło i zaspokojeni udali się na spoczynek. Mieliśmy sposobność podziwiać wyborny ich apetyt i zadowolenie, jakie się malowało na ich twarzach, w czasie jedzenia.

Widocznie spodobało się im u nas, bo chociaż na wstępie oświadczyli, że zaraz w poniedziałek muszą wracać, to jakoś nie bardzo im było śpieszno i z dnia na dzień zwlekali z powrotem do borów, tak, że ostatecznie wybrali się dopiero we czwartek. Mieszkali w tym samym domku, co poprzednia gromadka, a jedzenie donoszono im z plebanji. W kościele zachowywali się skromnie i spokojnie, słowem budująco.

Chociaż ci indjanie dopiero pierwszy raz byli na kolonji pomiędzy „białymi“, to zachowaniem się swojem nas wszyst-



Kościół XX. Misjonarzy w New Haven.

kich zadziwili, tak się potrafili dostosować do nas. Patrząc na nich, trudno było pogodzić się z myślą, że to butokudzi, że to dzicy, dzieci natury. A cała sztuka ich była w tem, że zawsze pilnie patrzeli na drugich i naśladowali to, co u nich widzieli.

Przynieśli ze sobą łuki i wielkie pęki strzał różnego gatunku. Popisywali się strzelaniem z łuków, co za siła i co za wprawa! Strzała wypuszczona z łuku wzbija się w górę na wysokość kilkudziesięciu metrów a potem spada w miejscu upatrzonem. Strzała, z okuciem żelaznem, na odległość 20—25 metrów przebija deskę calową na wylot. Znam tych samych botokudów z przed kilku lat. Lecz jaką to już zmianę można zauważyć! Wtedy mężczyzni nosili włos długi, kobiety nie splatały warkoczów, ale rozpuszczały włosy na ramiona w długich, wspaniałych kosach. Dziś tak mężczyzni jak i kobiety, przynajmniej ci, którzy byli na kolonji, noszą włosy krótko obcięte i to odbiera im tę cechę, plemionom indyjskim właściwą. Wtedy jeszcze soli nie znali, a gdy jednemu bugrowi podano kawał kiełbasy, to pluł na parę metrów, otwarte usta niemożliwie wykrzywiał i zmywał wodą, sól mu nie smakowała a pieprz go palił. Dziś ze smakiem zajadają kiełbasę, wcale nie wykrzywiając ust. Gdy ze zbytków podano bugrowi zapalonego papierosa, to zakrztusił się i rzewnie płakał, dziś wszyscy bugrzy palą, a gdy nie mają tytoniu, proszą o cygarka.

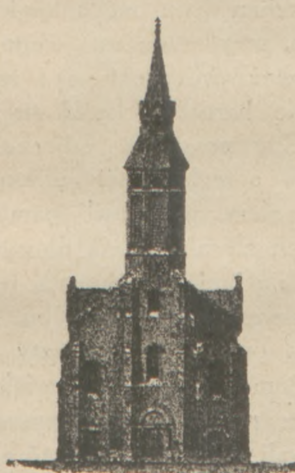
Wszyscy, którzy byli na kolonji, tak z pierwszej, jak i z drugiej wycieczki, należeli do grupy indjan, których przed paru laty ochrzciłem. Zastanowiło mię to, że żaden z nich nie nosi we wardze „botoki", choć dziurka w dolnej wardze jest widoczną, niezarośniętą. Gdy ich pytałem dlaczego nie noszą botoki, odpowiedzieli, że są ochrzczeni i nietylko tu na kolonji, ale w porto i w borach botoki nie noszą.

Przez te kilka dni jakie spędzili wpośród nas, oprowadziliśmy ich i pokazywali wszystko, co ich mogło zainterewać. Byli także w szkole i wydziwić się nie mogli, że tyle dzieci

razem zebranych, zrozumieć nie mogli po co tu przychodzą i na co mają takie dziwne przedmioty jak tabliczki i książki. Byli i na wieży i choć to wysoko jeszcze na palcach się wspinali, aby móc zobaczyć swoje „porto".

— Tak, tak, nasza to była ziemia, tutaj polowaliśmy na zwierza, a dziś nasza ziemia tam daleko — mówił jeden z nich, pokazując ręką na całą okolicę.

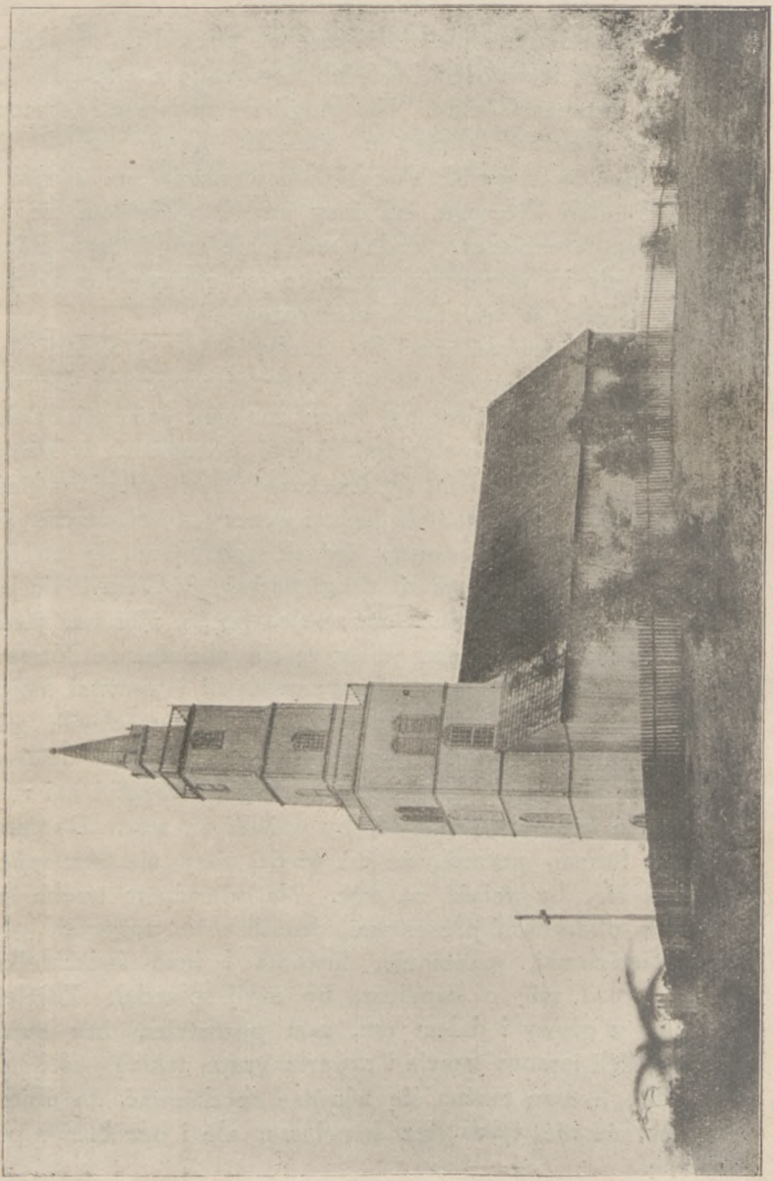




Bardzo smutny objaw daje się zauważyć u wszystkich tutejszych plemion indyjskich, a mianowicie wielka skłonność do pijaństwa. W borach, na porto mają surowy zakaz używania jakichkolwiek napojów. Wyjątek stanowi „święto botoki" obchodzone co rok przy końcu grudnia, bardzo uroczyście. W tym wyjątkowym dniu wolno im pić do woli napój bardzo odurzający, przez nich samych wyrabiany. Fabrykują ten swój trunek narodowy „gojsú" w ten sposób, że do kadzi z wodą wrzucają kolby miękkiej, niedojrzałej

kukurudzy, miód pszczół leśnych i kawałki pewnego gatunku paproci. To poddają przez parę tygodni fermentacji. Gdy proces fermentacji skończony, zlewają napój w przygotowane beczki. Jest to napój tak silny, że w dniu tym w „święto botoki“ wszyscy bugrzy, starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety wszyscy leżą jak martwi. Skoro tylko przyjdą na kolonję, pierwsze po co wyciągają rękę to wódka, piją wszyscy, a piją bez miary. Bardzo smutny to objaw. Ośmieleni będą przychodzili na kolonję coraz częściej, będą się rozpijać i pijaństwo stanie się ich zgubą.

Tak się złożyło, że w tym czasie, kiedy druga grupa indjan była na kolonji wypadł przyjazd na naszą kolonję p. prezydenta stanowego, p. Adolfa Kondera. Przedstawiono panu prezydentowi i tę cząstkę jego poddanych, ucieszył się bardzo i kazał się fotografować w otoczeniu bugrów. Gdy prezydent odjechał, przyszli do mnie bugrzy pytając, co o nich mówił gubernator. Byłem zaskoczony takiem pytaniem, po chwili namysłu odpowiedziałem, że gubernator ich chwalił, że są dobrymi ludźmi, bo już nikogo nie napadają i nie mordują, a jeszcze będą lepszymi, gdy się przyzwyczają do pracy na roli. Z przyjęcia, zgotowanego dla p. prezydenta i reszty gości w sali towarzystwa „Bratnia Pomoc“, pozostało wiele ciast, tortów i kawy. Zastawiono na nowo stół i zaproszono butokudów, aby i oni skosztowali słodyczy, na które są tak łakomi. Wszyscy byliśmy ciekawi ich zachowania przy stole, byliśmy pewni, że nie dadzą sobie rady z filiżankami, podstawkami, talerzykami i t. d. Tymczasem zrobili nam wielką niespodziankę. Zachowali się bardzo poważnie i godnie, nie popychali się, nie wyprzedzali jeden drugiego, jedli powoli, spokojnie, ale bardzo wiele. Na odchodnem byli na plebanji, aby się pożegnać. Prosili, aby im na drogę dać wódki. Oświadczyłem, że wódki im nie dam, bo nie mam i tłumaczyłem, że nie dobrze pić wódkę, bo to obrzydliwe i szkodliwe. Zafundowałem im parę butelek gazosy i tem ich uraczyłem. Bardzo im to smakowało, a gdy ich pytałem co lepsze, wódka czy



Brazylja: Kościół XX. Misjonarzy w Rio Claro.

garosa, wszyscy razem odpowiedzieli, że i to dobre i wódka dobra. W pokoju pousiadali sobie na podłodze, na skórze tygrysiej i z ciekawością oglądali fotografję z obchodu 25-lecia na Thomas Coelho. Nie mogli się nadziwić, że może być tylu papaiów (księży) na świecie. Zaraz poznali, że w pośrodku siedzący Ks. Arcybiskup wyróżnia się od reszty księży i pytali dlaczego ma inny strój? Mówiłem, że to arcybiskup (arcebispo). Żadną miarą nie mogli tego pojąć, dopiero gdy im powiedziałem, że to jest cacique dos papues (kacyk księży), w tej chwili mię zrozumieli.

Poszli pożegnać się i do szkoły, a raczej Siostry wypuściły dzieci na pauzę, aby się pożegnać z bugrami. Żegnali się z wszystkimi jak dobrzy, starzy znajomi. Już byli daleko a jeszcze rękami, kapeluszami dawali pożegnania w stronę plebanji i szkoły. Prosili, by ich kazać kawał drogi odwieść furmanką, bo tamci pierwsi jechali wozem, a oni jeszcze nie. Choć pilną miałem robotę, jednak zgodziłem się na ich prośbę i kazałem ich kawał drogi podwieść. Cieszyli się jak dzieciaki, gdy się znaleźli na wozie, bo to pierwsza jazda w ich życiu. Tymczasem nieszczęście chciało, że furman, ujechał jakie cztery kilometry, przewrócił i wysypał moich gości w dziurę. Wyobrażam sobie ich miny w chwili, gdy się wóz z nimi przewracał! Podobno cichutko leżeli w dziurze, a gdy się pozbierali, pousiadali na środku drogi i ani rusz nie można ich było namówić, by wsiedli na wóz. Dopiero, gdy ich furman upewnił, że już więcej razy nie przewróci, zgodzili się, by wsiąść na wóz. Na odjezdnem trzeba ich też było obdarować prezentami, dostali noże, nożyczki, igły, nici, pierścionki, grzebienie, lusterka i inne świecidełka. Jeden prosił mię o kapelusz, bo swój sprzedał. Zdjąłem kapelusz z głowy i dałem mu, sam pozostałem bez kapelusza. Jeżeli jeszcze trzecia i czwarta grupa takich gości mię nawiedzi, a tego można się wkrótce spodziewać, to obiorą mię tak, że nie tylko bez kapelusza, ale i bez butów pozostanę.

Na 9 grudnia, jako w drugą niedzielę miesiąca, pojechałem znów, jak co miesiąc, z nabożeństwem na Moemę. Zastałem tam już trzech botokudów, którzy czekali na mnie. Bo sobie obliczyli, że w tym czasie napewno będę na Moemie. Prosili i to bardzo prosili, żeby pojechać z nimi na porto, bo wiele dzieci i dorosłych czeka na chrzest św., są i dwa śluby. Teraz już nie mogłem odmówić i szczerze obiecałem, że dnia 27 grudnia będę na Rio da Lonza, nad rzeką Itajahy i że w tym dniu mają po mnie łódką wyjechać. Aż się zawstydziłem, zamiast ja ich mam szukać i prosić, oni biedni szukają za mną i proszą mię, żeby do nich przyjechać.

Pojadę więc, da Bóg, żeby spełnić zadość ich prośbie i wypełnić swój obowiązek kapłański. Pojadę pożegnać się z Edwardem i poczciwemi botokudami, może na zawsze.

X. J. Kominek
cz. K. Zgr. M.

Rodacy w Brazylji.

I. Osady polskie w Brazylji.

Niezapomniane nigdy chwile przeżywa każdy, który choć pobieżnie zobaczył Brazylję, ten ciekawy kraj, w którym tylu naszych rodaków w pogoni za lepszym kawałkiem chleba, jeszcze w czasach niewoli, znalazło gościnę i drugą ojczyznę.

Po świeżej i jednostajnej zieleni europejskiej, która corocznemi wiosnami utrwaliła się w pamięci, uderza wysiadającego na brzeg parański (stanu Parana) egzotyczna roślinność, różnobarwna, nietylko barwą kwiatów, ale i barwą liści, na tle zielonem. Nad bananami, ananasami unoszą się majestatycznie wielkie pióropusze palm.

Pierwszą emigrację przyprowadził tu do Parany p. Edmund Sebastjan Woś-Saporski. Ze stanu Sta Catharina z poi śród wyzyskujących ich Niemców wyprowadził ich z pod Brusque w r. 1869, aby swojskie, polskie, tu w niezajętej-jeszcze Paranie stwarzali osady.

Wśród bananów, bujnych palm, w parnym nizinnym klimacie nie swojsko było naszym, do pracy stworzonym emigrantom. Spojrzą ku niebu, a tam góry niebotyczne, w obłokach kąpiące swe szczyty, zagradzają im drogę. Z odwagą pnie się kolonista ku tym wyżynom, torując sobie wśród gąszczu ścieżynę fakiem (wielkim nożem). Udał się pod opiekuńcze konary pinjorów (rodzaj sosny) olbrzymów. Zrozumiał, że gdzie pinjory swojemi koronami jakby parasolami osłaniają niższy gąszcz dziewiczego lasu, tam jest dostatek zdrowego powietrza. Idźmy za nim.

Dziś z nizinnego brzegu portowego miasta Paranaguá, nie potrzeba sobie mozolnie torować drogi, bo na wysokość 800 metrów wspina się na przestrzeni 30 kilometrów kolej żelazna. Jest to arcydzieło inżynierji. Kłęby dymu rzucając i głośno parskając, pnie się ten żelazny smok ku górze, jakby szponami czepia się nadprzepastnych złomów skał. Idzie to skrawkiem skały, to sunie się mostem nad jakąś 30-metrową szczeliną gór i kryje się, gdzieś w górę włażąc tunelem, to znów, jak gad leśny wypełznie i czołga się po żelaznym moście, rzuconym ze szczytu na szczyt góry.

Siłą rzeczy pierwsze kolonje rozłożyły się przy Kurytybie. Niektóre z nich obchodziły już 50-ciolecie swego istnienia.

Dawniej kiedyś, na przestrzeniach dziś przez Polaków zajętych mieściły się szałasy Indjan, żyjących dziko, nago i z polowania. Część ich wyginęła, część zlała się z narodem napływowym, a obecnie żyją oni cofnięci w głąb wielkiego kraju, rozbici na grupy o kilkudziesięciu familjach, na terenie ograniczonym.

Niewiele od indyjskich szałasów, różniło się pomieszkanie leśnego Brazyljanina (kabokla), żyjącego także z polowania i najprymitywniejszego chowu świń i bydła, wypasających się bez właściwej opieki swego pana w dziewiczych lasach lub herwalach (herbata brazylijska).

Mozolną była i pozostała praca początkowa naszego kolonisty, na coraz szerszych przestrzeniach, zamieniającego dziewiczy dziki las na uprawne pola lub uporządkowane herwale.

Wali olbrzymie pinjory, (araucaria, rodzaj sosny) wyróżniające się z otoczenia wysokością, smukłością i olbrzymią koroną gałęzi. Przecina je piłą, łupie z kloca deski, zbija lub związuje razem i tworzy tymczasowy, obliczony tylko na kilka lat domek. Naokoło domu wycina polankę, pali drzewo, i na spalenisku sadzi przedewszystkiem kukurudzę, którą i ludzie i zwierzęta się żywią. Gdzie jest herva matte, zabiera się do jej wyrabiania. Polowaniem zajmuje się z ko-

nieczności, broniąc swych uprawionych pól przed szkodnikami, kryjącemi się w lasach, a później dla rozrywki, przyjemności i pożytku.

Powoli z latami buduje sobie łodzie na rzekach, ulepsza drogi, które początkowo stanowiły ścieżyny zaledwie, i tak stwarza sobie drogi komunikacyjne.

Powoli lasy się przerzedzają, wśród obsianych nierównych pól widnieją jeszcze odosobnione pinjory, zostawione na budulec, i latami sterczące ich twarde i odporne pnie. Zczasem, po kilku, kilkunastu latach stawia sobie porządniejsze domki z desek rzniętych piłą, lub w tartakach. Tak powoli powstają okolice cywilizowane, a nawet drogi automobilowe. Tam gdzie zbyt górzyste są okolice lub inne przeszkody do transportowania ciężarów wozami, zastępują je grzbiety mułów lub koni, zwłaszcza przy wywożeniu herwy z głębi lasów.

Tak więc zdobywa Polak-kolonista przyrodzone bogactwa Brazylji, kosztem olbrzymiego wysiłku, stając się posiadaczem malowniczych okolic, głazami ubranych rzek, przepięknych wodospadów. Jedynie mozolna praca toruje mu do nich drogę.

Późniejsza masowa emigracja rozszerzała się również przeważnie na płaskowyżu stanu Parana, ze względu na stosunkowo najlepszy klimat. Temperatura dochodzi tutaj do 34° Cel., a zimą spada do 4° poniżej zera; przeciętna temperatura wynosi 16·2°, więc w sam raz dla naszych ludzi. Późniejsza emigracja zaczęła zajmować tereny i w innych stanach, jak na południu Sta Catharina, Rio Grande de Sul, a nawet S. Paulo, na północy od Parany.

Stany te zajmują wielką przestrzeń, którą da się podzielić na trzy strefy: a) strefę nadmorską, wąską, oddzieloną łańcuchem gór Serra do Mar od płaskowyżu wnętrza Stanów; b) strefa wyżyny wewnętrznej, wznosząca się na 600—800 m ponad poziom morza, oraz c) strefa pochyłości od średniego biegu lewych dopływów rzek Parany i Urugwaju. Pasma gór przerzynają kraj cały, doliny rzek rozlewnych

tworzą cudowne krajobrazy, a majestatyczne wodospady, często przerywają wartki bieg ujętych w skaliste brzegi rzek, strącając ze skał rozpyloną wstęgę wody nieraz ze znacznej wysokości.

Stosownie do ukształtowania się terenu i klimatu, udają się w rozmaitych miejscach rozmaite produkty, jak żyto, pszenica, owies, ziemniaki, kapusta, ale najwięcej kukurudza. Zaś w niższych i cieplejszych okolicach także ryż, trzcina cukrowa i kawa.

Ziemie, które rząd Brazylijski na bardzo długoterminową wypłatę dawał emigrantom, przeważnie ma 1.000 m w głąb i 250 m frontu. Ten kawał ziemi (około 400 mórg), nazywa się szakrem lub kolonją. Gospodarcze budynki buduje się na takim szakrze w miejscu najdogodniejszem, zwykle nad wodą. Jeden od drugiego jest więc oddalony znacznie. Dlatego też praca duszpasterska czy oświatowa jest utrudnioną. Poszczególne linje takich kolonij mają 10 do 20 i więcej kilometrów. Kolonista (gospodarz) jedzie do kościoła nieraz dwie i trzy godziny w jedną stronę. Dzieci chodzą do szkoły często 6 km a nieraz i 10 km.

Po 30 lub 50 latach starzy koloniści starają się nabywać nowe i coraz większe tereny ziemi dla siebie lub dla swych dzieci. Idą w lasy, wypierają brazyljan, wykupując ich własności. W ten sposób kolonje rozlewają się i tracą spoistość, tembardziej, że nieraz wyczerpanie gleby zmusza wychodźcę do porzucenia raz obranej roli i szukania nowych terenów pod uprawę. Ruch ten powoduje spustoszenie całych połaci kraju, opuszczanych jako nieużytki. Składa się na to gatunek samej ziemi, gdyż ścisłe badania chemiczne wykazały słabe jej zasoby w potrzebne dla roślin sole, jednak głębszym powodem wyczerpania roli jest nieracjonalna, rabusiowa gospodarka. Dla urządzenia plantacyj kawy (caferal) ścina się i pali wspaniałe dziewicze lasy, i na ich miejscu buja piękny caferal, lecz po 20—30 latach wyczerpuje on ziemię doszczętnie, drzewka kawowe marnieją, i na ich miejscu wyrasta marna capoeira. Stąd powstało przysłowie:



Wyjazd na [illegible]ce apostolskie.

„przed kawą i po kawie idzie śmierć“. Pod siekierą obcych, chciwych zysku handlarzy padają wspaniałe lasy, zresztą wszyscy tu rąbią a nikt nie sadzi. To też zasłużyły naprawdę niektóre stany, a zwłaszcza San Paulo na określenie, przesadnie nadane przez pisarza paulistańskiego Monteizo Lobato całej Brazylji: „zamarły kraj“.

Przesuwanie się osiedli polskich jest spowodowane obok przyczyn powyższych warunkami klimatycznemi.

W strefie nadmorskiej, gorącej, ocalały z dawnych, licznych osad tylko: Massaranduba, Guarany-Mirim, Warnów, Sandweg, Pinkeiro, Cocal, Tubarao i pomniejsze. Jednak marnieją one powoli, topnieją i toną wśród wieńca kolonij niemieckich, tracąc kolonistów emigrujących na wyżynę daleko zdrowszą dla kolonistów polskich, jako pochodzących z północno-wschodniej chłodniejszej Europy.

Obecnie zaznacza się wielki napływ kolonistów polskich w trzecią strefę, t. j. w strefę pochyłości od środkowego biegu dopływów rzek Parany i Urugwaju. Jest to kolonizacja najświeższa zaledwie w małej cząsteczce rządowa (Apucarana), przeważnie prywatna, oparta na prostej zasadzie kupna ziemi. W tej strefie ustalają się osady Apucarana, Salto do Uba, Marceas, Herval-Herlvalsinho, Reserva, Santa Helena, Tibagy, Kolonja Queroz ku Larangeiras i Catanduwie na drodze do Foz do Iguassu. W Santa Catharinie są kolonje nad górnym Urugwajem, następnie nad Urugwajem w Rio Grande do Sul pod Guarany i Porto Lucena, skąd już koloniści przechodzą do Missiones w Argentynie w jedną i drugą stronę rzeki Urugwaju.

Strefa wielkich skupień polskich na wyżynie środkowej ma tę dogodność, że przez środek wyżyny biegnie główna kolej Sao Paulo—Rio Grande i jej główne rozgałęzienia. Ta arterja komunikacyjna, wraz z rozwijającą się żeglugą rzeczną zapewnia wielką i ciągle rosnącą wartość ziemi, posiadanej przez naszych kolonistów, oraz ułatwia im zbyt produktów ich gospodarki rolnej.



Wodospad w Paranie.

II. Brazylja placówką polskiej prowincji C. M.

Od wynarodowienia i zdziczenia ratują naszych kolonistów kościoły i szkoły. Instynktownie skupia się nasze wychodźtwo koło kościołów. Ze wszystkich stron kolonji napływały do biskupów wołania o polskich księży, które miały ten skutek, że w r. 1899 bp. Barros zaproponował Zgromadzeniu naszemu objąć opiekę duchowną nad wychodźtwem polskiem w Brazylji. Nieliczni byli wówczas XX. Misjonarze polscy, i tylko ponowne nalegania przyczyniły się do wysłania pierwszej grupy misyjnej brazylijskiej w składzie X. Bol. Bayera, X. Franciszka Chylaszka, X. Hugona Dylli oraz brata Al. Węgrzyna. Wybrano jako pierwszą parafję, kolonję Thomas Coelho w pobliżu Kurytyby, w rok później objęto Lucenę (dziś Itayopolis) w 1906 Prudentopolis i Abranhes, a w dwa lata potem Orleans i Rio Claro. Nieco później powstaje polska parafja w Massarandubie, lecz z powodu zabójczego klimatu musiano ten posterunek zwinąć i przenieść go do pobliskiego Rio Vermelho. Nawet z odległego Rio Grande do Sul zapragnęli Polacy mieć wśród siebie polskich księży misjonarzy. Co pewien czas przysyłała Centrala Krakowska nowych pracowników, lecz w okresie wojny wszelka komunikacja z Macierzą została przerwana, co zahamowało do r. 1920 szybszy rozrost placówek misyjnych. Mimo to w tym czasie powstaje szereg nowych parafij, w Kurytybie zaś zostaje założony dom główny. Posiłki świeże nadchodzą w latach 1920, 1921 i 1923, po dwuch nowych pracowników. Są też i straty, gdyż na kartę żałobną wciągnęliśmy już dwa nazwiska zmarłych w nowym warsztacie pracy na obczyźnie młodych jeszcze księży: X. Feliksa Dejewskiego († 1918) oraz X. Jakóba Malika († 1922).

Obecnie oprócz Domu Centralnego w Kurytybie posiadamy na 22 księży 14 placówek obwodowych, posiadających niezmiernie trudne warunki pracy.

III. Warunki duszpasterzowania.

Praca księży w kolonjach jak również w miasteczkach jest obliczona na szeroki zakres. Praca parafjalna, szkolna,

misyjna, społeczna — oto zadania, którym powinien odpowiedzieć kapłan, a które pochłaniają go w zupełności. Parafje tutejsze liczebnie nie dorównają krajowym, jednak praca w nich jest bardziej żmudną i uciążliwą z powodu rozrzucenia tak kolonij jak poszczególnych kolonistów. Do wyjątków należą parafje o jednym kościele, zazwyczaj zaś w obwodzie jednego księdza skupia się cały szereg kaplic i kościołów, odległych od kościoła o dziesiątki kilometrów. Zdarza się, że misjonarz przez 2 lub 3 miesiące objeżdża liczne (do 30 i 40) kaplice, należące do jego parafji. Nieraz podróże te są niebezpieczne, gdyż droga prowadzi przez gęste bezludne lasy i zarośla, wbród przez rzeki i to czasem w niebezpiecznym okresie wylewów. Koń do połowy zanurzany we wodzie musi wskakiwać na prom, to znów płynie za łódką. Nieraz burza zrywa się nagle, gwałtowna ulewa pod akompanjament gęstych piorunów przemacza misjonarza do nitki. A wokoło nigdzie wolnej od drzew polanki ani chałupy. Smukłe na 40 do 50 m wysokie pinjory (sosny), uginając się jak wysoki łan zboża, kłaniają się swemi konarami, rozpiętemi szeroko u samego wierzchołka. Lęk ogarnia przed temi pokłonami, bo od czasu do czasu ułamie się potężna, na kilka metrów długa gałąź i runie tuż przed jeźdźcem. Czasem trzask i łomot echem rozbrzmiewa w dziewiczej puszczy: to olbrzym jakiś złamany lub z korzeniami wyrwany zwalił się, druzgocąc stojące mu na drodze drzewa... W dzień pogodny a upalny, gdzieś w polowie drogi wypocznie się w cieniu nad wodą, popuściwszy popręgów płochliwemu arabowi. Obwąchuje on ręce i kieszenie swego pana, jakby badając z troską, czy ma się czem posilić. Mlaska językiem i oblizuje się. Trzeba się z nim podzielić, dając mu choćby skórkę pomarańczy, kawałek chleba z masłem, lub nawet z mięsem, bo i tem nie wzgardzi konik, widząc jak jego pan smacznie zajada.

Czasem po drodze wstąpi się do „Kabokla“ (leśny brazyljanin). Zastaje się ich najczęściej koło południa, przykucniętych w lecie przed domem, w dni chłodne w domu

przy ognisku rozłożonem w środku. Zwykle na żarzących się drewnach stoi czajnik z gorącą wodą. Po pierwszych powitaniach: „Dzień dobry, jak się pan masz“, po klepaniach po plecach, kabokla nasypuje do „kujki“ (naczynie z owocu, do tykwy podobnego). herwa matty (tamtejsza herbata), zalewa gotującą się wodą, chwyta ustami bombę (rurkę, ze sitkiem na dole), wysysa pierwszą porcję, nalewa do tejże kujki znów wody gorącej i podaje nowo przybyłemu gościowi lub też najbliżej siedzącemu. Tak po kolei wszyscy piją ten „szymara“.

Gorzej przedstawiają się duszpasterskie podróże księży w głębi, wśród samych kaboklów. Nieraz wypadnie nocować pod gołem niebem, lub przy ognisku w popiele. Podczas gdy wśród Polaków można urządzić się względnie wygodnie, to wśród Brazyljan naogół jest się pozbawionym wszelkich wygód. Ma się za to pewne wewnętrzne zadowolenie, że przecież pracuje się dla pożytku dusz, istot najwięcej pod względem religijnym opuszczonych.

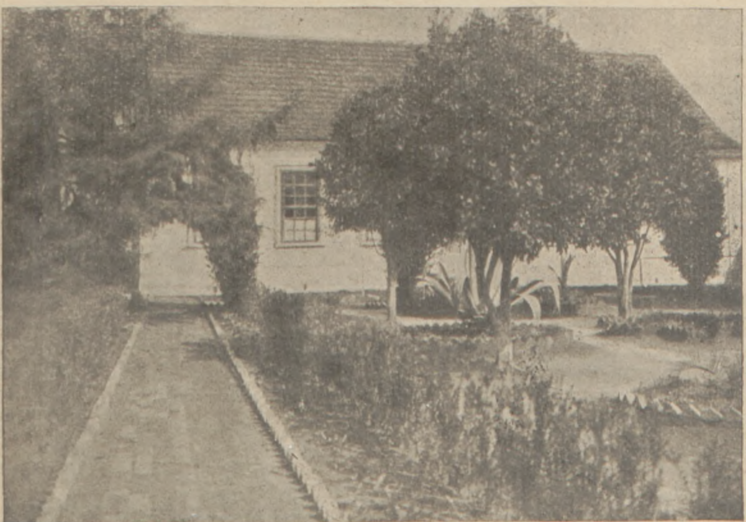
Powróćmy jednak do warunków pracy parafjalnej. Kapłan obcuje ze swymi parafjanami przeważnie tylko podczas nabożeństwa lub kilka chwil bezpośrednio przed lub po nabożeństwie. Dlatego wszelkie zebrania są utrudnione. W każdej prawie parafji jest żywy różaniec, Stow. Dzieci Marji, a rzadziej stowarzyszenie młodzieży.

Odnosi się to do parafij już starych, gdzie kolonje są więcej skupione. Nowopowstałe kolonje wynikłe przez dalsze zakupna, są jeszcze trudniejsze dla pracy organizacyjnej.

Jakżeż można gruntownie pouczać dzieci, czy starszych, jeżeli raz na miesiąc lub nawet rzadziej można ich odwiedzić; bywa, że ksiądz na zapowiedziany dzień przyjedzie, ale ludzi deszcz wstrzyma. To też zaniedbanie religijne i brak znajomości nawet pierwszych prawd wiary św., powoli, ale stale wzrasta. Latwo się domyśleć, że w ślad za utratą religijności idzie zanik poczucia narodowego, bo jeżeli w którym, to w naszym właśnie narodzie, a zwłaszcza na emigracji, religja katolicka z narodowością jest nierozdzielna. Polakiem będzie

na emigracji ten, który odbiera w polskim języku wykształcenie i wychowanie na zasadach religji katolickiej, w przeciwnym razie będzie to Polak tylko z imienia.

Domyślić się łatwo, jak wobec braku księży, których cała Brazylja na 35 miljonów ludności ma tylko 3.000, podczas gdy sami metodyści w paru ostatnich latach przysłali do Brazylji blisko 4.000 swych kaznodziei, — jak przeto są potrzebne zastępy katolickich nauczycieli i nauczycielek, zdol-



Krajobraz.

nych do nauczania po polsku katechizmu, pacierza, pieśni polskich.

Niestety, większa część naszych świeckich nauczycieli w Brazylji nie poczuwa się do tego obowiązku.

Jako wzór może służyć postępowanie nauczycieli niemieckich, którzy poza oświatową pracą stawali także na czele religijnego ruchu i jako delegaci dopominali się kazań i księży niemieckich. Naszym zaś niezaradnym kolonistom niema w tym względzie kto dopomóc i w ich imieniu upominać się o za-

spokojenie potrzeb religijnych w polskim języku. Wielu naszych nauczycieli, wprost przeciwnie wstydzi się przeżegnać i kpi sobie z uczuć religijnych kolonistów, odradzając im sprowadzania księdza polskiego. Dlatego też szereg większych osad jest pozbawiony opieki stałego księdza polskiego, nietylko bowiem biskup, ale nawet nieraz i proboszcz brazylijski lub niemiecki nie zdaje sobie sprawy, że tam są Polacy i że księdza polaka koniecznie potrzebują.

Od kilku lat (1920) Księża Misjonarze przedewszystkiem, za życzliwem poparciem polskich księży i innych Zgromadzeń, starają się choć częściowo te braki w pracy parafjalnej, szkolnej, organizacyjnej wypełnić akcją zbiorową, centralną, zorganizowaną w Kurytybie.

W tym celu założono w r. 1920 ze współudziałem osób świeckich, informacyjną ale na zasadach katolickich opartą gazetę „Lud". Wychodzi 2 razy na tydzień i kosztuje z przesyłką do Polski 20 złotych.

W r. 1921 zaczęliśmy wydawać także czysto religijne pisemko miesięczne z kazaniami na niedzielę pod tytułem „Przyjaciel Rodziny".

W tymże roku zaczęliśmy organizować związek katolickich szkół i towarzystw polskich w Brazylji „Oświata", który mimo wielu przeszkód a małego zrozumienia, rozwinął pod prezesurą ks. Jana Rzymełki szeroką działalność. Skupił on przy sobie 78 towarzystw i 64 szkół. Z towarzystw współpracują przeważnie szkolne. Na szczególniejszą uwagę zasługuje Towarzystwo Kościuszki, w jego domu mieści się od 1927 roku kolegjum H. Sienkiewicza.

Z nieszkolnych towarzystw najdzielniej wspiera akcję oświatową Tow. „Wład. Jagiełły" w Abranhes.

Równocześnie z organizowaniem szkół i towarzystw, pod hasłem wychowania młodzieży na zasadach katolickich, skupia się także nauczycielstwo, „Kółko Nauczycieli Chrześcijańskich" liczy wśród swoich członków 40 nauczycieli świeckich i 31 nauczycielek zakonnych. Zjeżdżają się oni co roku na Walne Zabranie; w tym roku odbyły się dla nich reko-

lekcje. Przy związku „Oświata“ istnieje bibljoteka, z której korzystają stowarzyszenia, szkoły oraz prywatne osoby. W r. 1923 została także otwarta bursa, przeznaczona dla młodzieży, kształcącej się w mieście bądź w szkole średniej bądź w szkołach fachowych. Większość kształci się na nauczycieli szkół prywatnych. Dotychczas pod kierunkiem księży otrzymało dyplomy państwowe 19 nauczycieli szkolnych. Wogóle działalność księży w Brazylji, a przedewszystkiem w Kurytybie, jest oświatowo-społeczna w duchu narodowo-katolickim, w miarę sił przeprowadza się w życiu idea akcji katolicko-społecznej, tak gorąco zalecana przez Stolicę Apostolską.

IV. Niebezpieczeństwo wynarodawiania.

Obecnie zanosi się na większy ruch wychodźczy, regulowany umową rządu polskiego ze stanem S. Paulo na północ od Parany. Klimat gorący, nie jest on jednak nie do zniesienia. Zwłaszcza, o ile zostanie zapewniona sumienna i dostateczna obsługa lekarzy polskich, wielu rodaków znajdzie tu dogodne warunki gospodarcze, szczególnie na plantacjach kawy, poszukujących robotników stałych.

Tem większej wagi nabiera a nawet wysuwa się na pierwszy plan niebezpieczeństwo wynarodawiania kolonistów polskich. Narodowość i to wybitną kolonij naszych, podtrzymuje przedewszystkiem pokolenie przybyłe z Polski i pierwsze pokolenie, urodzone na ziemi brazylijskiej, które wychowane wyłącznie przez rodziców, bez najmniejszego wpływu szkół brazylijskich, zachowało jeszcze wszystkie skarby ducha polskiego.

Wynaradawianiu sprzyja brak pędu do oświaty u naszego wychodźcy w Brazylji. Lekceważenie wykształcenia i wychowania dzieci pochodzi z tej naturalnej przyczyny, że kolonista nasz osiadł wśród ciemnego, leniwego i ubogiego kabokla. Z natury rzeczy czuł się wyższym od niego, patrzał na niego zgóry i nie myślał kształcić się wyżej, bo uważał za wystarczające to, co przyniósł z kraju.

W Ameryce Północnej jest wprost przeciwnie, nasz

emigrant był i czuł się niższym od krajowców, Amerykanów, to też pęd wykształcenia jest tam znacznie wyższy. To jest najgłówniejsza przeszkoda przy kształceniu się naszych kolonistów w Brazylji, gdzie zarobkują w sposób najprymitywniejszy, choć połączony ze strasznym wysiłkiem, lecz za to bez większej komplikacji i kombinacji w zajęciu. Wreszcie rozlewność naszych kolonij, tak w skupieniu pojedynczem, jak w zbiorowem, jest również wielką przeszkodą w ich narodowem ożywieniu, w działalności kulturalnej i oswiatowej. Bywa, że dziecko chodzi do szkoły 10 klm. Wreszcie wpływy klimatyczne wytworzyły odmienny typ Polaka kolonisty, znacznie, jeżeli niezupełnie odmiennego od Polaka w kraju. Prędszy rozwój organizmu i władz umysłowych cechuje tamtejsze dzieci po szkołach, ale też prędzej zjawia się zastój i wyczerpanie wobec ciężkiej pracy rolnej, jakiej się nasi koloniści poświęcają. Wreszcie zły wpływ otoczenia, zupełnie odmienne obyczaje tubylców i obcych przybyszów, obniżają naszego kolonistę, i z trzeciem pokoleniem obojętnieje on dla polskości tak, że jedynie sprawy duchowne w kościele załatwia po polsku, który to język jest dla niego w pewnej mierze językiem świętym, od uroczystości i obrządków kościelnych.

Kościół, to jeszcze jedyny czynnik, który nawet najobojętniejszemu przypomina jego polskie pochodzenie, język i obrządki polskie. Gdzie tych czynników niema, tam proces brazyljanizacji posunął się już znacznie naprzód, jak to można obserwować w okolicach pozbawionych księży polskich, n. p. w Erechim.

Zadaniem konkretnem doby dzisiejszej jest napływ liczniejszy, masowy kolonistów z Macierzy, na własne tereny brazylijskie, nabyte przez większe organizacje kolonizacyjne, aby umożliwić w ten sposób powstanie większych i bardziej skupionych osiedli, zdolnych do życia zbiorowego, z własnym kościołem i własną szkołą. Obecny bowiem rząd brazylijski i to od lat 10 nauczony doświadczeniem z czasów wojny i „jubileuszem 100 lat pracy niemieckiej w Brazylji“, posta-

nowił kolonizację rozproszkować na wielkich przestrzeniach, stwarzać osady (nuclea) o 100 rodzinach najwięcej tej samej narodowości, a więc niezdolne do utrzymania szkoły i kościoła.

Ważną zachowawczą rolę pod względem katolicko-narodowym odgrywa wśród naszych rodaków na obczyźnie działalność Sióstr Miłosierdzia. Sprowadzone do pomocy w zakresie szkolnictwa w r. 1904, rozwinęły one wkrótce ożywioną akcję i dziś posiadają już 6 domów oprócz sierocińca w Kurytybie, otwartego w gmachu, ofiarowanym przez rząd dla opuszczonej dziatwy i sierot. W swych sześciu szkołach gospodarczych urabiają Siostry na ławie szkolnej nowe pokolenie, wpajając zasady wiary św. obok wiadomości, niezbędnych dla każdego kulturalnego człowieka. Do internatów tych szkół są przyjmowane córki kolonistów polskich od lat 12, posiadajace wykształcenie szkoły ludowej, na dwuletni kurs gospodarstwa domowego, połączony z uzupelnieniem wykształcenia ogólnego. Tu się zaszczepia przyszłym matkom polskim głęboką wiarę oraz miłość do Macierzy polskiej, zamiłowanie obyczajów swojskich, szacunek do kultury własnej narodowej, a wyrabiają się charaktery otwarte, szczere, odporne na wpływy destrukcyjne zewnętrzne.

X. Stanisław Piasecki.

Konferencja na uroczystość Niepokalanego Poczęcia Najśw. Marji Panny przy założeniu Seminarjum Sióstr Miłosierdzia w Chełmnie (1868 rok).

Ponieważ z okazji sześćdziesięciolecia Seminarjum Sióstr Miłosierdzia w Chełmnie nie pojawiła się dotychczas żadna wzmianka, przeto korzystając z archiwalnych materjałów, dołączamy do jubileuszowego numeru Roczników obydwóch Zgromadzeń, przemówienie X. Gawrońskiego, wygłoszone przy otwarciu tegoż Seminarjum w Chełmnie dnia 8 grudnia 1868 r. Jestto zarazem próba opracowanych kazań i nauk, jakie pozostały w rękopisach.

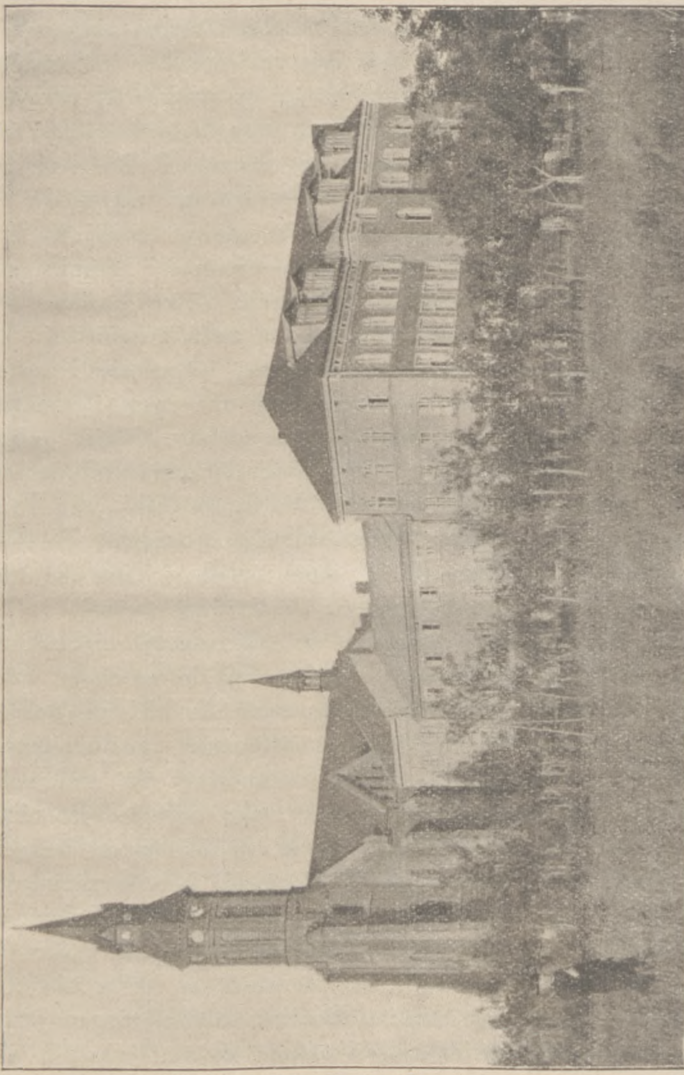
„Stanęła Królowa po prawicy Twojej
w ubiorze złotym, otoczona rozmaitością".
Ps. 44 w. 60.

Pojmujecie, Najmilsze Siostry, pociechę, jaką serce me przejęte, że mogę do was tak zgromadzonych dzisiaj przemówić. Dziś w dniu tak uroczystym dla Zgromadzenia waszego, bo święto Niepokalanego Poczęcia pozostanie na zawsze pamiątką najdroższą dla Zgromadzeń naszych, bo pamiątką szczególnych łask, jakie Pan Bóg przez Zgromadzenia nasze światu udzielić raczył przez objawienie Cudownego Medalu, jest nam danem jeszcze powitać zawiązek seminarjum dla małej prowincji naszej, chełmińskiej. Jakiemże uwielbieniem ku Bogu, jaką wdzięcznością dla Najprzewielebniejszych Przełożonych naszych powinnyście być przejęte, Wielebne Siostry, za ten nowy dowód ojcowskiej troskliwości o dobro wasze i dzieł wam powierzonych! Seminarjum to nasze bę-

dzie nowym węzłem, węzłem wdzięczności, łączącym was z przełożonymi i drogim Domem macierzystym, bo będąc, da Bóg, wierną kopją głównego, łatwiej wam będzie tutaj przejmować i ożywiać się duchem świętego powołania waszego. To najgorętsze pragnienie i to życzenie dla was, kochane Siostry, które dzisiaj go rozpoczynacie. Zobaczmy jaki wzór daje nam dzisiaj Marja przez Niepokalane swe Poczęcie: Marja uświęcona szczególną łaską w chwili pierwszej swego istnienia daje nam poznać szczęśliwy stan nasz, jeśli jesteśmy w łasce Bożej, Marja wierna tej pierwszej łasce uczy nas przykładem, jak starannie tę łaskę przechowywać nam trzeba. Posłuchajcie proszę.

I. Kościół święty, Najmilsze Siostry, nie wymyśla ani nie stanowi nowej wiary. To co było od początku prawdą objawioną od Boga, to w czasie, wyrokiem Bożym naznaczonym ogłasza jako artykuł wiary i kiedy Pius IX., któremu, należy się chwała ogłoszenia dogmatem Niepokalanego Poczęcia N. Marji Panny, zapytał biskupów całego świata katolickiego, jaka była wiara ich kościołów o Niepokalanem Poczęciu Marji, wszyscy odpowiedzieli: wierzymy, zawsześmy wierzyli, że Najświętsza Marja Panna przez szczególną łaskę i przywilej była wolną od zmazy pierworodnej i była bez grzechu poczętą. I papież oparty na tem świadectwie Kościoła ogłosił prawdę objawioną od Boga, że Marja była poczętą bez grzechu. My wszyscy rodzimy się dziećmi gniewu, grzech Adama ciąży na nas, niewiadomość i namiętność, naturalne jego następstwa, rozlewają jad po wszystkich władzach naszej duszy, umysł nasz pełen błędu, wola wydana pożądliwościom, siedliskiem niebezpiecznych złudzeń, wiemy stąd, jak nam trudno czynić dobrze, jak skłonni jesteśmy do złego, stąd odraza do najświętszych obowiązków, miłość pochlebstwa, która oszukuje nas i psuje, niechęć do cnoty, stąd walka wewnętrzna ciała przeciw rozumowi i Bogu. Wszystko to wyraźne dowody grzechu, który zaciągamy przy poczęciu naszem, przynosimy z sobą z życiem. Nie tak Marja. Ona sama z pośród dzieci Adama mogła powiedzieć — Pan

mnie posiadł od początku dróg swoich, miłość jego weszła do duszy mej z życiem, nigdym nie obraziła majestatu Bożego. I do Marji tylko Bóg mógł powiedzieć — cała piękna jesteś przyjaciółko moja a zmazy niema w tobie. Między córkami ludzkiemi jesteś jak lilja między cierniem. Jakież potoki łaski i błogosławieństwa Bożego spłynęły na Marję razem z tym nieporównanym przywilejem, któż opowiedzieć potrafi. Uświęcił i ubogacił w łaskę jak przystało na matkę syna swego Marję, bo czyż ta, która miała wydać na świat Boga świętości mogła być choćby na chwilę niewolnicą szatana, nieprzyjaciółką Boga? To niepodobna, Bóg zanadto kochał tę, która w czasie miała być Matką jego wedle ciała, aby miał pozwolić szatanowi choćby na chwilę nad nią zapanować. Wyrok skazujący pierwszą niewiastę, a w niej wszystkie inne, nie obejmuje Marji, której grzech nie zmazał i kara nie dotknęła, bo nie na nią, ale wszystkie inne prawo uczynione. Wszystkie dzieci Adama jęczą pod jarzmem grzechu i jestże człowiek na ziemi, któryby nie zgrzeszył i sprawiedliwy siedmiokroć nie upadł? Marja tylko wyjęta i cień nawet grzechu nie ciąży na niej, ona sama ma prawo powiedzieć, jak syn Jej Jezus Chrystus, któż z was dowiedzie na mnie grzechu, bo nie na nią, ale na wszystkie inne to prawo uczynione. Sprawiedliwy, choć dobrze żyje, choć się wystrzega grzechu, ileż walk ponieść musi dla zachowania cnoty i zniesienia namiętności. Smutny spadek po pierwszych rodzicach zawsze nam dokucza, czuje człowiek w ciele swojem prawo przeciwne prawu ducha, chcące go opanować. Łaska Boża starczy, to prawda, do zwycięstwa, ale jak to boleśnie czuć w sercu swojem ciągle nieprzyjaciela, który zgubić go ciągle pragnie. Marja sama wolną od namiętności, bo nie na nią, ale na wszystkie inne to prawo uczynione. Wszyscy ludzie oddają ziemi ciało, które z ziemi wzięte i prochem jesteś człowieku i w proch się obrócisz, ale Marja cała święta miałażby podlegać zniszczeniu? Umarła, bo i syn jej umarł, ale Bóg ją wskrzesił i jest w niebie razem z Barankiem bez zmazy, bo nie na nią, ale na wszystkie inne to



Małe Seminarjum XX. Misjonarzy, Kraków, Nowa Wieś.

prawo uczynione. Zaprawdę cudowny Bóg w świętych swoich; jakże daleko cudowniejszy w najdoskonalszym dziele swoim Marji, bo łaska ta Niepokalanie Poczętej nietylko uświęciła Ją uświęcając jej osobę, ale była jeszcze i źródłem nieprzebranem zasług, podnosząc i uświęcając wszystkie jej czyny za życia. Wszystko cokolwiek Marja zrobiła, było świętem i niepojętej wartości przed Bogiem, a dlaczego? Bo wszystko wypływało z tej pierwszej łaski, podstawy wszystkich innych, Jej Niepokalanego Poczęcia. Żeby lepiej to zrozumieć, wystawcie sobie Wielebne Siostry i Najmilsi słuchacze to ziarno gorczyczne ewangelji, które posiane wyrosło w wielkie drzewo, wrzucone na ziemię, zapuszcza korzenie, kiełkuje i wznosi się, rozrasta w gałęzie i wydaje liście, kwiaty i owoce, a wszystko to ma życie i początek od tego małego ziarneczka tak, że kwiaty, liście, gałęzie żyją, utrzymują się dlatego, że są w połączeniu z korzeniem, który wydało ziarno gorczyczne. Oto figura łaski, jaką otrzymała Marja przy swojem Niepokalanem Poczęciu. Ta łaska była jakby ziarnkiem, ale jej moc rozlała się na wszystkie jej czyny, była tylko korzeniem, ale z niego wyszły te cudowne dary, które ją wyniosły do tak zaszczytnej doskonałości, do tak nieporównanych cnót, skąd dobre czyny, cześć jaką oddawała Bogu, dzieła miłosierdzia ku bliźnim, pokora, słodycz, skromność anielska, umartwienie, posłuszeństwo, słowem wszystkie cnoty. Teraz zastanówmy się nad sobą, a poznamy, czem jesteśmy przez łaskę niewątpliwie niższą od tej, jaką otrzymała Marja w swem Niepokalanem Poczęciu, ale zdolną tenże w nas skutek sprawić. Nie otrzymałyście Wielebne Siostry jak Marja tego wielkiego przywileju, ale odrodzone przez Chrzest św., pokutę, łaskę św. powołania otrzymałyście także szatę białą niewinności, która uświęciła serca wasze, uczyniła dziećmi Bożemi, oblubienicami Jezusa Chrystusa, łaskę, która nada i nadaje czynom waszym wartości, czyni was bardzo miłymi Bogu i daje wam prawo do dziedzictwa w niebie. Ta łaska powołania świętego ułatwi nam nabycie cnoty, otworzy oczy duszy na próżność wielkości

światowej, a sprawi, że umiłujecie życie w pracy, w umartwieniu, życie przykre i ciężkie wedle świata, ale słodkie i łatwe dla prawdziwej oblubienicy Chrystusa Pana. Żadna z was, Wielebne Siostry, tego mi nie zaprzeczy. Jeśli łaskę tę pełnić będziecie, jeśli w niej całą chwałę waszą położycie, ona wam ułatwi nabycie cnót powołania, ona ubogaci was w zasługi i sprawi, że powołanie wasze wyżej stawiać będziecie, jak wszelką wielkość i znaczenie w świecie. Tak to łaska tylko i świętość czyni stworzenia podobnymi do stworzyciela, czyni dziećmi Bożymi, przez nią tylko urzeczywistnić można godziwie dumny okrzyk upadłego Anioła: „będzie podobny Najwyższemu“, bo przymioty Boże choć niedokładnie, choć w obrazie w nim widać: dobroć, sprawiedliwość, miłość. Starając się o cnoty, odzyskuje człowiek, co stracił przez grzech; stracił szczęście i Boga, znajdzie Go stając mu się podobnym — a Bóg tak miłościwie do tego go zachęca: bądźcie świętemi, doskonałemi. I jeśli dostrzeże duszę, co zrozumiała świętość prawdziwą i stara się o nią, kocha ją, darzy dobrodziejstwami, spiera ją w pracy. Może to dusza nieznana od ludzi, uboga i wzgardzona, ale obficie nagrodzona szacunkiem swego Boga. Jakże Bóg miałby jej nie kochać? Czyż ojcu nieprzyjemnie dopatrzeć w dziecięciu swojej cnoty, postępowania, charakteru, czyż matka nie wdzięcznie widzi w córce podobieństwo swoje?

Więc Bóg kocha cnotę i często pokazał to w świętych, kiedy im dał moc swoją, pozwolił rozkazywać naturze, dowodzić cnoty cudami. Mojżesz ileż to cudów zdziałał, cudów laską swoją w Egipcie i na puszczy. Św. Wincenty stał się na ziemi obrazem Opatrzności Boskiej i dziwne rzeczy przez jego ręce Bóg uczynił. Cóż wspomnieć o wielkiej Siostrze Rozalji współzałożycielce konferencyj św. Wincentego? Ale wielkość nagrody za cnotę Bóg na przyszłe życie zachował. Cnota wprowadzi wybranych do nieba, otworzy im bramę szczęśliwości, uczyni ich podobnymi Bogu. Św. Jan to mówi, „lecz wiemy, iż gdy się okaże, podobni mu będziemy, iż go ujrzymy jako jest“. Oto co was czeka, jeśli

tę łaskę powołania oceniać będziecie, jeśli uświęcone przez Krew Chrystusa Pana starać się będziecie trwać w miłości jego zawsze. Dopóki będziecie w łasce Bożej, nie będzie wam mógł Pan Jezus odmówić prawa do królestwa, bo wszystkie czyny uświęcone przez łaskę wysługują wam chwałę; najniższe, niepodlejsze czyny w rozumieniu świata, szklanka wody dana ubogim w imię Chrystusa, jak nam sam powiedział, nagrodzona jest niebem, a tak życie wasze na ziemi stanie się ciągłym aktem hołdu i czci ku Bogu, aktem miłości. Ale także przeciwnie osądźcie o stracie, jakąbyście poniosły utracając łaskę, bo wiara nas uczy, że w stanie grzechów wszystkie uczynki i najlepsze nawet są umarłe, więc na żywot wieczny nie zasługujące. Uznajcież więc godność waszą i w tym dniu czci Niepokalanej Marji poświęconym nowe począwszy życie w łasce i z łaską pracujcie, czuwając i starając się na wzór Marji, aby zawsze przechować ją w sercu.

II. Jest to bowiem niezawodną prawdą, że po Chrystusie jest przykład Marji dla Córek Miłosierdzia, jak ma użyć łaski, którą ją Bóg obdarzył. Marja otrzymała w chwili swego Niepokalanego Poczęcia łaskę nieporównaną, była uświęconą, umocnioną w miłości Bożej tak, że łaski tej nie mogła stracić, nie mogła odstąpić od Boga, najmniejszym obrazić Go grzechem. Czyż dlatego pozostaje w spoczynku, nie stara się o cnotę, nie pracuje? O nie, Marja wie, że łaski Boże są jakby łańcuch, którego ogniwa ściśle spojone ze sobą; jeśliby nie odpowiedziała jednej, rozerwałby się. Stąd ileż ostrożności i starań, aby zachować łaskę.

Jakże odmienna od tych dusz oziębłych i leniwych, które boją się, żeby przypadkiem nie uczyniły za wiele dla Boga! Jeśli, mówi św. Ambroży, rozważamy jej życie, znajdziemy tam wszystkie cnoty, wszystkie zwycięstwa świętych. W całem jej życiu ani chwili straconej napróżno, ciągle nowe usiłowania, aby podobać się Bogu. Czegokolwiek od niej człowiek żądał, zawsze jej serce gotowe, zawsze płonie tym ogniem, któremu nie dorównują Serafiny w niebie. I jak tu



Kościół XX. Misjonarzy w Tarnowie.

nie dziwić się, że łaska bez miary rozlewa się w jej duszy, kiedy z taką wiernością ją przyjmuje? Tąż drogą łaska i w waszych sercach działa. Bóg wam ją da w miarę wierności waszej w odpowiadaniu na wezwanie jego.

Więc biada tej, która w połowie tylko oddaje swe serce Bogu, która chce iść za Jezusem, ale myślą tylko, nie chce opuścić świata, zwraca się ciągle za znajomościami i miejscem, które opuściła, rodziną, którą przecież poświęciła dla Jezusa, a może i rozrywkami i tęskni jak Żydzi za cebulą egipską. Jakże łaska działać może w takim sercu podzielonem między świat a Boga? Sercu, które wprawdzie nie chciałoby być występnem, sercu, które nie jest niewolnikiem namiętności, ale nie pragnie być świętem, bo idzie za skłonnościami przyrodzonemi, za kaprysem, lęka się trochę gwałtu sobie zadać. Łaska ścieśniona w takiem sercu znika powoli. Duch św. zasmucony żali się, boleje, ale wkrótce milknie jego głos i nie udziela swoich darów duszom niewiernym; pozostają więc same, nudzą się, zniechęcają, schną powoli. Bądźmyż więc wierne na wzór Marji. Pamiętajmy, że jeżeli nie dajemy Bogu czego od nas żąda, nie mamy prawa niczego od niego się spodziewać, a im więcej mu damy, tem więcej odbierzemy tu i w przyszłem życiu.

Oto wzór, jaki wam daje Marja. Nieraz wam mówiono, że Marja była pierwszą córką miłosierdzia i miłości. Wielka to prawda. Przejmijcie się tą prawdą dzisiaj wy kochane Siostry, które dziś seminarjum wasze rozpoczynacie, proście niech Ona kieruje krokami waszemi i pamiętajcie, że do macierzyństwa Bożego przygotowała się Marja przez życie ukryte i zdala od świata w świątyni jerozolimskiej. Umiłujcie na wzór jej życie ukryte, pracę nad sobą, służenia później Jezusowi w osobie ubogich. Amen.

Działalność XX. Misjonarzy w Derby, Conn.

W niespełna dwa lata od chwili, kiedy pierwsza drużyna misjonarska, złożona z księży Głogowskiego, Trawniczka i Waszki stanęła na amerykańskiej ziemi, powstaje nowa placówka misjonarskiej działalności. Jest nią zorganizowana w dniu 23 lipca 1905 r. a dotychczas zachowana parafja św. Michała archanioła w Derby. Nową tę placówkę powierzył życzliwy Zgromadzeniu biskup ordynarjusz pierwszego naszego domu w New Haven nie bez wyraźnej nadziei, że inkorporowana nowa zamierzona parafja w niedługim czasie pod dzielną i pracowitą ręką niezmordowanych pracowników ewangelicznych i pod wyraźną opieką bożą doczeka się pięknego rozkwitu. I nie zawiódł się ten dostojnik Kościoła św. w nadziejach swoich.

Z początku wobec braku należytego miejsca pomieszczenia i nadliczbowego personalu przybywali sporadycznie z New Haven do Derby, to X. Waszko, to X. Głogowski albo X. Trawniczek i po całodziennych pracach i łowach znów wracali do swojej siedziby nadmorskiej albo wyprawiali się na misje wcale częste. Pierwszym superjorem zorganizowanej już parafji został X. Stanisław Konieczny, lecz już w lutym następnego roku 1906 ustąpił miejsca obecnemu nestorowi misjonarskiej sprawy na amerykańskiej ziemi, Czcigodnemu X. Wicewizytatorowi Pawłowi Waszko.

Nowy superior i proboszcz w Derby całą duszę swoją poświęcił dla tej placówki, gdzie przez 17 lat działał, żniwował i cierpiał dla Chrystusa, ale i o Zgromadzeniu nie zapomniał. Dzięki jego staraniom powstaje nowy piękny

kościół pod wezwaniem św. Michała archanioła jeszcze w roku 1906. W roku 1912 buduje obszerną plebanję, dającą pomieszczenie dla 7-miu conajmniej księży i to wygodne i przyjemne. W 1914 wykończył piękną szkołę i dom oraz zabezpieczył podstawy parafji, oddając szkołę i młodzież wzorowemu Zgromadzeniu Sióstr Nazaretanek. Wszystkie te budynki nie mało pochłonęły dolara. Dobrzy i sprawiedliwi znawcy otaksowali wartość dotychczasowej pracy na 300 tysięcy dolarów amerykańskich.

Ponieważ parafję Derby stanowią trzy miasta odrębne Derby, Ansonia i Shelton, przeto i duszpasterstwo stawało się przytrudne zwłaszcza wobec wzrastającej ustawicznie Ansonji. Potrzebom katolików parafjan Ansońskich starano się zaradzić skutecznie, delegując X. Alojzego Zieleźnika na duszpasterza w Ansonji dla dobra 300 tamtejszych rodzin. Stworzono więc parafję pod wezwaniem św. Józefa, wybudowano tak zwany „Combination Building“ zamykający w sobie kaplicę, szkołę i mieszkanie dla Sióstr Nazaretanek. Dla celów plebanji zakupiono osobny budynek. Wobec dysmembracji parafji, a raczej stworzenia nowej, proboszczowi derbskiemu zeszczuplała liczba rodzin parafji w Derby. Jednak i tak jest pokaźna, liczy jeszcze jakie 500 wszystkich praktykujących.

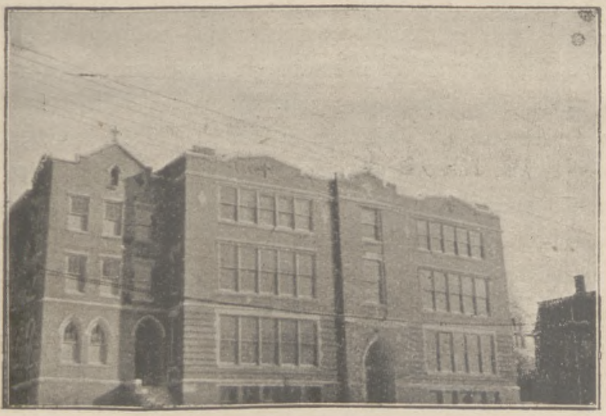
Szkoła kierowana przez dzielne Siostry Nazaretanki, zostająca pod wezwaniem patrona Kościoła św. Michała archanioła, daje wykształcenie elementarne 750 polskim dzieciom; podobna szkoła pod opieką św. Józefa w Ansonji przygarnia 400 dzieci także polskich.

Wydatną była praca duszpasterska i nauczycielska. Świadczy o tem ożywione życie religijne, bijące silnem tętnem. Liczny był napływ ludu Bożego na słuchanie Słowa Bożego. Sakramenta św. nie zaniedbane. Do Komunji św. przystępuje corocznie niemniej jak 17.000 wiernych parafjan. Wielce pocieszający to widok.

Wspomnieć jeszcze wypada i na księży jako towarzyszy apostolskich w trudach i krzyżach obecnego Wicewizytatora,

a długoletniego superjora w Derby X. Waszki. Byli tu X. Dylla Hugo, X. Józef Janowski. Sprawy Bożej doglądał także X. Eugenjusz Kołodziej. Od 1912 aż do 1923 r. asystentował tu X. Józef Studziński, a w r. 1923 po ustępującym na





Kolegjum św. Jana Kantego w Erie Pa.

stanowisko superjora Broocklyńskiego X. Waszce objął urząd superjora domu i proboszcza parafji. Pomocy udzielali mu w czasokresie jego superjorstwa X. Jan Cepurski, X. Michał Grigljak i X. Paweł Palka.

Działalność XX. Misjonarzy w Derby nie zacieśniła

się do kościelnej tylko i do samej zakrystji, ale przeniosła się również poza kościół dla urzeczywistnienia celów społecznych i humanitarnych, nie pomijając kulturalnych, których ośrodkiem jest zawsze sprawa katolicka i polska. Z towarzystw o charakterze więcej kościelnym wypada wyliczyć: Bractwo Różańcowe liczące 12 róż niewiast-matek, 6 mężczyzn i 4 panien; Dzieci Marji 150 członkiń, oraz Koło dramatyczne 100 członków. Towarzystwo św. Stanisława Kostki liczy 80 członków, a Chór św. Teresy 30 członków. Nadto istnieją przy parafji towarzystwa o charakterze humanitarnym: Towarzystwo św. Michała archanioła 100 członków, Jana III. Sobieskiego 150 członków, najliczniejsze jest Towarzystwo Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, bo liczące 300 członkiń. Wszystkie udzielają wsparcia w razie choroby. Ze Stowarzyszeń niekościelnych, towarzyskich raczej, to Sokół Polski o sile 100 członków, Grupa Związku 80 członków oraz Zjednoczenie pod wezwaniem św. Józefa 150 członków.

Tak wygląda mniejwięcej warsztat misjonarskiej pracy w Derby. Zorany znojem pierwszych Misjonarzy, obecnie jako dobrze uprawna gleba ewangeliczna wydaje swój plon dla chwały Bożej, dobra Kościoła św. a Polskości także, zachowując jej synów dla wiary katolickiej i tradycji przodków. Choć mało znana, a może i niedoceniana bezwątpienia znalazła ona jednak uznanie w oczach Boskiego Zbawiciela, który tym zasiewom ze Swojej niebieskiej chwały zawsze błogosławił i nadal błogosławić będzie.

Na podstawie zapisków X. Studzińskiego opracował *X. P. P.*

Do Szanownych Czytelników „Roczników".

1) Redakcja prosi o łaskawe wyrównanie prenumeraty, z którą **zalega połowa czytelników.**
2) „Roczniki" będą odtąd wychodziły regularnie co kwartał.
3) Prenumerata roczna 10 zł. (2 dol.). Numer pojedynczy 3 zł. Wpłata na konto czekowe 150.142, ks. Król. Kraków.
4) Uprasza się księży konfratrów o nadsyłanie artykułów odpowiednich do „Roczników"; zwłaszcza księży superjorów o „kroniki domowe", dyrektorów misyj o sprawozdania z tychże, etc., etc.
5) Sekretarjaty **wszystkich** trzech prowincyj SS. Miłosierdzia prosi redakcja o łaskawe sprawozdania z pracy Sióstr, nekrologi zmarłych Sióstr i t. d.
6) W latach 1916, 1917, 1918, 1919 nie wyszedł żaden numer „Roczników". W 1920 i 1921 po 4 numery, w 1922, dwa numery, w 1923 i 1924 po jednym numerze, w 1925 r. dwa numery, w 1926 i 1927 po cztery numery, w roku 1928 trzy numery.